

CO SIĘ STAŁO W OSETII POŁUDNIOWEJ

ŁUKASZENKO ZAPRASZA PAPIĘŻA

Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005

MIAŁO ZMIANY

POLSKI

NR 7-8 (31)

Nadchodzą zmiany?

OD REDAKTORA

- 1 Gorące lato 2008...
- 2 Kalejdoskop

FOTOFAKT

- 10 15-lecie Stowarzyszenia Żołnierzy AK

ZPB

- 12 Znasz li ten kraj?
- 13 «Sokół» - górą!
- 14 Warsztaty Lubelskie
- 15 Język polski na sportowo
- 16 Fajerwerki nad żłobkiem

BIAŁORUŚ

- 20 Skąd terroryści na Białorusi
- 23 Nadchodzą zmiany?
- 25 Cios uprzedzający

SACRUM

- 27 Łukaszenko zaprasza Papieża
- 28 Ruszaj tam, gdzie Ziemię Obiecaną daje ci Pan...
- 30 Milcząca schizma

MASMEDIA

- 34 Dziennikarzom wstęp wzbroniony

HISTORIA

- 38 «Druga repatriacja» z BSSR. 1955-1959

KULTURA

- 50 Rok Zbigniewa Herberta
- 50 Przez całą Polskę

ALE JAZDA!

- 52 Rzeczywistość urojona



Skąd terroryści na Białorusi

W nocy z 3 na 4 lipca, podczas koncertu z okazji Dnia Niepodległości w Mińsku eksplodował niezidentyfikowany ładunek wybuchowy. Łukaszenko był niedaleko miejsca wybuchu, jednak nie był to atak na białoruskiego wodza.

str. 20



Dziennikarzom wstęp wzbroniony

Kontrowersyjna ustawa o mediach, która ma wejść w życie za pół roku, przez niezależnych ekspertów od środków masowego przekazu jest nazywana «kagańcową». Pesymiści wieszczą definitywny koniec dziennikarstwa niezależnego na Białorusi.

str. 34

OKŁADKA: PHOTO.BYMEDIA.NET

ADRES DO KORESPONDENCJI:
skrytka pocztowa 107,
230025, Grodno, Białoruś.
magazyn.polski@gmail.com

REDAKTOR NACZELNY:
Igor BANCER, ibancer@wp.pl
tel. +375-29-7850387

PRENUMERATA POLSKA:
Fundacja Wolność i Demokracja,
ul. Wiejska 13/3
00-110, Warszawa
tel. (22) 622-77-01

MAGAZYN POLSKI jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Społecznego Zjednoczenia «Związek Polaków na Białorusi». Założony w roku 1992, od roku 2005 jest wydawany na uchodźstwie.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów otrzymanych oraz ich tytułów.



MAGAZYN Polski jest wydawany ze środków Senatu Rzeczypospolitej Polskiej



MAGAZYN Polski jest wydawany przy wsparciu Fundacji «Wolność i Demokracja»

Gorące lato 2008...

Tegoroczne lato było bogate w wydarzenia. Wybuch podczas uroczystości z okazji Dnia Niepodległości w Mińsku, Igrzyska Olimpijskie w totalitarnych Chinach, «akcja wymuszania pokoju» przeprowadzona przez Rosję na terytorium Gruzji, niespodziewane wypuszczenie ostatnich białoruskich więźniów politycznych. Działo się sporo.



Nie przypominam sobie w ostatnich latach tak gorącego lata, jak tegoroczne. Może jest to kwestia tego, że pamięć jest wybiórcza i im dalej od wydarzeń, tym bardziej zacierają się one w pamięci, ustępując miejsca nowym, nieraz szokującym wydarzeniom z życia codziennego.

Co można powiedzieć o wybuchu podczas obchodów Dnia Niepodległości w Mińsku? Że jest to chuligański wybryk, jak to zgrabnie ujął minister spraw wewnętrznych Białorusi Władimir Naumow? A może to próba zrzucenia odpowiedzialności na opozycję demokratyczną i zastraszenia zwykłych obywateli przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu? A jeśli był to «ordynarny» atak terrorystyczny?

Obserwując reakcję społeczeństwa białoruskiego najpierw po wybuchu w Mińsku, a potem po wybuchu wojny na Kaukazie zrobiłem dla siebie zdumiewające odkrycie. Otóż zwykłych ludzi na Białorusi bardziej poruszyły wydarzenia w Gruzji, niż widmo terroryzmu, wkradającego się na Białoruś. Zachodzę w głowę, czy to jest kwestia dobrze pracującej maszyny propagandowej, która na samym wstępie nazwała wybuch w tłumie ludzi «zwykłym» incydentem i na wszelkie sposoby pomniejszała wagę zdarzenia. Czy jednak mentalność większości obywateli dzisiejszej Białorusi jest taka, jak 100 czy 200 lat temu – czyli to przysłowiowe «było by tylko nie było wojny».

Oczywiście, to, co się stało w Gruzji jest wydarzeniem pierwszoplanowym, jednak eksplozja niezidentyfikowanego urządzenia wybuchowego w tłumie ludzi, w samym centrum białoruskiej stolicy też nie jest wydarzeniem nie wartym uwagi. Przecież Białoruś czegoś takiego nie pamięta! Była to zuchwała, powiedziałbym, chamska akcja, której sprawcy nie są znani do dnia dzisiejszego, mimo, że sam Łukaszenko zapowiadał, że sprawa zostanie rozwiązana szybko, a sprawcy ujęci niemal natychmiast. Tyle tylko, że do dnia dzisiejszego winnych nie znaleziono.

Jedynym wymiernym efektem zakrojonej na szeroką

skale akcji milicji oraz prokuratury są nękania działaczy opozycji demokratycznej. Za kratami znaleźli się natomiast przedstawiciele firmy, która importowała na Białoruś sok marki «Sadoczok». Prawdopodobny sprawca wybuchu pił sok właśnie tej marki, przed tym jak uruchomić bombę. Co ma wspólnego firma–importer soków z wybuchem w Mińsku 3 lipca? Absolutnie nic. Jak powiedział na konferencji prasowej pod koniec sierpnia minister Naumow: podczas trwającego śledztwa przedstawiciele MSW odnaleźli nieprawidłowości w finansach wspomnianej firmy. Odpowiedź na pytanie, kto stał za eksplozją i kiedy zostanie złapany sprawca, z ust ministra na tej konferencji tak i nie padła.

Białoruska opinia społeczna, sprowadzona do roli atawistycznego wyrostka milczy. Dzisiaj na Białorusi o wiele bezpieczniej jest współczuć cudzemu nieszczęściu, patrząc na to, jak wykrwawiają się na śmierć ofiary kolejnego zamachu terrorystycznego w jakimś egzotycznym państwie. Zaś głośno mówić o państwowym terroryzmie, który uprawia Łukaszenko & Co nie wolno.

Nie wolno na głos zadawać pytań, czemu milicja i KGB mogą dopilnować, żeby demokratyczny lider nie dotarł na spotkanie ze swoimi zwolennikami, a nie mogą ująć zwyrodnialca lub zwyrodnialców, którzy podkładają bombę w centrum Mińska? Nie wolno pytać, czemu milicja i KGB są szybcy w zatrzymywaniu opozycjonistów, demonstrujących jak najbardziej otwarcie i pokojowo w obronie swoich praw, natomiast sprawca bestialskiego czynu, jakim bez wątpienia jest uruchomienie «bomby domowej roboty» w ludzkim tłumie pozostaje na wolności już blisko dwa miesiące.

Gorące lato 2008 dobiega końca, jednak sytuacja wewnątrz kraju pozostaje napięta, a zbliżające się wybory parlamentarne na pewno przyniosą sporo wydarzeń, które jeszcze bardziej podgrzeją atmosferę. Wygląda na to, że po gorącym lecie czeka nas nie mniej, a kto wie – może i bardziej, gorąca jesień.

IGOR BANCER,
REDAKTOR NACZELNY MAGAZYNU POLSKIEGO

Mandela nie jest już terrorystą

Chociaż brzmi to kuriozalnie, to okazuje się, że dopiero teraz Nelson Mandela, legenda walki o prawa człowieka i laureat pokojowej Nagrody Nobla, został wykreślony z listy terrorystów rządu USA.

Obecność Mandeli, pierwszego czarnoskórego prezydenta RPA, na liście światowych terrorystów od lat pozostawała kłopotliwym tematem dla władz USA. Nawet szefowa amerykańskiej dyplomacji Condoleezza Rice przyznawała, że jest to «dość żenujące».

Ostatecznie Amerykanie postanowili kuriozalną sytuację zmienić. Zrobił to prezydent George W. Bush, podpisując ustawę skreślającą Mandelę i przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) z «czarnej listy» organizacji terrorystycznych i osób z nimi powiązanych. Oznacza to, że Mandela i członkowie ANC, rządzącego obecnie w RPA, będą od tej pory mogli przebywać na terenie USA bez specjalnej zgody władz



NELSON MANDELA

amerykańskich.

Przed wprowadzeniem w RPA ustroju demokratycznego, opartego na społeczeństwie wieloetnicznym, ANC – który walczył, również zbrojnie, z rządami białych i segregacją rasową – był tam oficjalnie traktowany jako organizacja terrorystyczna.

HB

Język polski zakazany w Irlandii

Trudne czasy nastały dla Polaków w Irlandii. Tamtejsi pracodawcy zakazują im używania języka polskiego. W obronie Polaków zamierza interweniować irlandzki związek zawodowy SIPTU.

Zakaz używania języka polskiego nie dotyczy tylko kontaktów z klientami, ale także porozumiewania się między sobą w trakcie przerwy pracowniczej. Co jest wbrew irlandzkiemu prawu, które nakazuje równe traktowanie pracowników w miejscu pracy, bez względu na ich macierzysty język.

Zakaz używania języka polskiego

to wynik obaw pracodawców o to, że polscy pracownicy mogą zbuntować się przeciwko trudnym warunkom pracy. Menedżerowie nie rozumieją, o czym między sobą rozmawiają Polacy i mogą z tego powodu nabrać wobec nich podejrzeń.

Przedstawiciele SIPTU uważają, że zakaz rozmawiania w ojczystym języku to przejaw dyskryminacji. Według tego związku zawodowego sytuacja taka ma miejsce w wielu zakładach pracy, w tym także wobec wysoko wykwalifikowanych pracowników z Polski.

EL

Ameryka rozlicza dawne zbrodnie

Ostatni udokumentowany lincz w historii Ameryki znajdzie najprawdopodobniej finał w sądzie. FBI wszczęło dochodzenie w sprawie makabrycznego mordu z 1946 roku na czworgu czarnoskórych farmerach.

Nowe dowody w sprawie sprzed dziesiątek lat mogą pomóc odnaleźć choć niektórych winnych zabójstwa. Adwokat prowadzący sprawę twierdzi, że odnalazł nawet pięć osób, które w 1946 roku strzelały do czterech czarnoskórych farmerów. FBI i GBI otrzymały informacje, które nie mogły zostać zignorowane – powiedział rzecznik GBI John Bankhead.

25 lipca 1946 roku dwie czarnoskóre pary, pracujące na plantacjach bawełny w Walton County w stanie Georgia, zostały napadnięte: w ich stronę wystrzelono setki pocisków. Ciężarnej kobiecie, Dorothy Malcom, nożem rozcięto brzuch i wyrwano z niego dziecko. Wiadomo, że jeden z morderców został 11 dni wcześniej oskarżony o zaszytowanie człowieka. Został jednak wypuszczony z więzienia na wniosek członka Ku Klux Klan.

W amerykańskich sądach skazano wiele osób, które występowały przeciwko czarnoskórej ludności USA i przeciwko wprowadzanych w tym okresie prawom obywatelskim. Jedną z głośniejszych spraw była sprawa tzw. «Missipi Burning» (spalenie w Missisipi). W procesie w 2005 roku Edgar Ray Killen został skazany na 60 lat pozbawienia wolności za zamordowanie w 1964 roku trzech działaczy ruchu na rzecz praw obywatelskich w Philadelphii w stanie Missisipi.

SM



INGRID BETANCOURT (PO LEWEJ) NA LOTNISKU WE FRANCJI

Szczęśliwe uwolnienie

– Marzyłam o tej chwili od siedmiu lat. Jestem bardzo wzruszona tym, że jestem z wami i oddycham powietrzem Francji – mówiła na paryskim lotnisku Ingrid Betancourt, francusko-kolumbijska działaczka na rzecz praw człowieka, przez sześć lat więziona przez lewackich partyzantów z FARC.

Betancourt, córka kolumbijskiego ministra edukacji i ambasadora Kolumbii przy UNESCO, wiele lat spędziła we Francji. Najpierw jako dziecko, później jako studentka. Wyszła za mąż za dyplomata Fabrice'a Delloye'a. Wróciła do kraju swojego ojca i została senatorem. W 2002 roku postanowiła wystartować w wyborach prezydenckich i wtedy właśnie została porwana przez walczących z rządem rewolucjonistów z FARC.

Przez 6 lat pozostawała na ich łasce i niełasce. W lipcu w spektakularnej akcji została uwolniona przez wojsko, korzystające nie z siły, ale podstęp. Oprócz niej w trakcie akcji uratowano jeszcze 14 zakładników.

Cała Francja, gdzie Betancourt stała się w ciągu ostatnich sześciu lat symbolem wszystkich zakładników świata i została mianowana honorową obywatelką licznych miast, przyjęła jej uwolnienie z prawdziwym entuzjazmem. Na ulicach i placach wielu francuskich miast, m.in. Paryża, Nantes i Montpellier, odbyły się wiece i happeningi radości, organizowane przez społeczne komitety domagające się uwolnienia słynnej zakładniczki. W małej miejscowości Saint-Lieux-Lafenasse (Pireneje), w której główny plac nosi imię Betancourt, jej uwolnienie obwieściło bicie dzwonów.

AD

Wina Stalina

Zgromadzenie Parlamentarne OBWE zaapelowało do parlamentów krajów europejskich o uznanie Wielkiego Głodu na Ukrainie w latach 30. minionego stulecia za zbrodnię reżimu stalinowskiego.

Autorzy rezolucje złożyli hold «milionom niewinnych Ukraińców, którzy stracili życie w następstwie masowego głodu spowodowanego okrutnymi i celowymi działaniami politycznymi totalitarnego reżimu stalinowskiego. Parlamentarzyści OBWE nie użyli jednak słowa «ludobójstwo», używane w tym kontekście przez stronę ukraińską.

W listopadzie 2006 roku ukraiński parlament przyjął ustawę uznającą Wielki Głód za ludobójstwo, zaś ukraińscy historycy twierdzą, że Moskwa wywołała go sztucznie, w celu złamania oporu chłopów, którzy sprzeciwiali się kolektywizacji rolnictwa. Z takim podejściem nie zgadza się Rosja.

W okresie istnienia ZSRR przez Ukrainę przetoczyły się aż trzy fale głodu – tuż po rewolucji bolszewickiej, w latach 1932–33 i po II wojnie światowej. Najtragiczniejszy w skutkach ten z lat 1932–1933, który w szczytowym momencie zabijał ok. 25 tys. ludzi dziennie. Do dziś nie ustalono dokładnie liczby ofiar «Holodomora». Liczby wahają się ok 4–6, aż do 10–15 milionów.

IB

100 mld dolarów jednym banknotem

Rząd Roberta Mugabe wyemitował banknot o nominale 100 miliardów dolarów zimbabweńskich. Według Centralnego Banku Zimbabwe, roczna stopa inflacji w tym kraju wynosi 2,2 miliona procent i jest najwyższa na świecie.

Według Banku Światowego, w Zimbabwe panuje 80-procentowe bezrobocie. Obywatele kraju, którzy jeszcze pracują domagają się wypłat w dolarach amerykańskich, których jednak dotkliwie brakuje w tym kraju. Niektórzy miejscowi ekonomiści szacują, że inflacja w kraju może wynosić nawet 7 milionów procent.

Mugabe, który w czerwcu, po sfalszowanych wyborach, rozpoczął swą szóstą od 1980 roku kadencję jako prezydent Zimbabwe, winę za kryzys składa na opozycję i jej «kon-szachty z dawnymi kolonialnymi władcami Zimbabwe» – Brytyjczykami.

WZ

«Doktor Śmierć» wciąż nieuchwytny

Nazista Aribert Heim, znany jako «Doktor Śmierć», może ukrywać się w Patagonii w Chile. Heim uznawany jest za jednego z najokrutniejszych hitlerowskich zbrodniarzy, który pozbawił życia setki ludzi w obozie koncentracyjnym Mauthausen.

Heim jest najbardziej poszukiwanym (i wciąż żyjącym) nazistowskim zbrodniarzem. Ma 94 lata, chociaż jego rodzina utrzymuje, że zmarł w 1993 roku. «Łowcy nazistów» z Centrum Szymona Wiesenthala są przekonani, że Heim żyje, ponieważ do dnia dzisiejszego nikt nie ruszył znajdujących się na jego niemieckim koncie 1,6 mln dolarów, które może zainkasować rodzina zbrodniarza, jeśli potwierdzi jego zgon.

Pod koniec lipca Centrum Szymona Wiesenthala, które zajmuje się ochroną praw człowieka i kultywowaniem pamięci o Holokauście, otrzymało informacje z dwóch różnych źródeł, które mogą doprowadzić do ujęcia jednego z najbardziej okrutnych zbrodniarzy nazistowskich.

«Doktor Śmierć» jest winien śmierci setek więźniów obozu koncentracyjnego Mauthausen. Heim wstrzykiwał im benzynę i różne trucizny prosto w serce. Po wstrzyknięciu substancji mierzyl czas, jaki upłynął od momentu zastrzyku



do zgonu. Używał części ciała osób, które zabił, jako dekoracji swojego gabinetu, na przykład zrobił sobie przycisk do papieru z czaszki jednej ze swych ofiar. Usuwał organy z ciał swoich «pacjentów» bez narkozy.

Jest ścigany od 46 lat. Centrum Szymona Wiesenthala oferuje nagrodę 310 tysięcy euro za złapanie Heima. Zdaniem pracowników Centrum Heim ukrywa się po chilijskiej lub argentyńskiej części Patagonii. W tym regionie mieszka też córka hitlerowskiego zbrodniarza.

Po II wojnie światowej w Ameryce Południowej schroniło się wielu nazistów – głównie z powodu otwartej polityki generała Domingo Perona. Jednym z nich był Josef Mengele, nazywany w obozie Auschwitz «Aniołem Śmierci». Po wojnie zbiegł do Argentyny, potem do Paragwaju. W Ameryce Południowej ukrywał się do swojej śmierci w 1979 roku.

IT

Lato w Sydney

Śnieg zaskoczył mieszkańców Sydney. Tak dużych opadów Australijczycy nie widzieli od 172 lat. Z przyjścia zimy najbardziej cieszą się dzieci.

Śnieg w Australii to rzadkość. Pogoda lubi jednak płatać figle. Przekonali się o tym w lipcu mieszkańcy przedmieścia Sydney. Zaskoczeni

Australijczycy wyszli z domów, by uwiecznić śnieg na zdjęciach.

Amatorzy białego szaleństwa próbowali uprawiać snowboard. Do zabaw na śniegu pomysłowi tubylcy wykorzystali nawet deski do windsurfingu.

Zamieć śnieżna trwała zaledwie pięć minut.

TK

Marihuana pomaga w modlitwie

Rastafarianie mogą posiadać większe ilości marihuany niż inni, bo narkotyki pomagają im w praktykowaniu religii – orzekł Sąd Najwyższy we Włoszech. Wyrok wywołał powszechne oburzenie.

Sąd Najwyższy rozpatrywał sprawę 40-letniego mieszkańca Perugii. Został on skazany przez sąd apelacyjny na 4 miesiące więzienia za posiadanie prawie 100 gramów marihuany. Z takiej ilości można zrobić około 70 «skrętów».

Mężczyzna przekonywał Sąd Najwyższy, że narkotyki są jednym z podstawowych elementów rastafariańskiej religii i pomagają mu w medytacji i kontemplacji w modlitwie.



Wyrok sądu wywołał oburzenie włoskiej prasy, która nazwała go «szokującym». Również przedstawiciele rządzącej centroprawicy byli zdziwieni taką decyzją, a wyrok uznali za bulwersujący. Szef klubu centroprawicy w Senacie Maurizio Gasparri powiedział, że we Włoszech rastafarianizm «to nie religia, ale moda».

Rastafari to ruch, który łączy cechy wierzeń afrykańskich, hinduizmu i chrześcijaństwa. Rastafarianie głoszą, że na Ziemi zapanuje pokój wtedy, gdy ludzie przestaną być dzieleni ze względu na pochodzenie czy kolor skóry.

DK



DALAJLAMA OD 1959 R. PRZEBYWA NA EMIGRACJI

Komu igrzyska, komu tortury

Mimo trwających w Pekinie igrzysk, chińskie władze represjonują i torturują Tybetańczyków – powiedział Dalajlama XIV, który przebywał podczas igrzysk z wizytą we Francji.

– Z żalem muszę powiedzieć, że idea pokoju olimpijskiego nie jest w żaden sposób respektowana przez chińskie władze w Tybecie – powiedział duchowy przywódca Tybetańczyków w wywiadzie, udzielonym francuskiej stacji telewizyjnej TF1.

Podkreślił, że w Tybecie nadal obowiązują także ograniczenia w zakresie przepływu informacji i bardzo ścisła cenzura. Cywile są zatrzymywani, torturowani, co w wielu przypadkach prowadzi do ich śmierci.

Dalajlama składał kilkunastodniową wizytę we Francji. W jej trakcie spotkał się z grupą parlamentarzystów, rozmawiał również z rywalką obecnego prezydenta w wyborach Segolene Royal, która oznajmiła m.in., iż wybiera się z wizytą do Tybetu.

Nie doszło natomiast do spotkania duchowego przywódcy Tybetańczyków z prezydentem Francji Nicolasem Sarkozym, które zostało odwołano w ostatnim momencie, pod presją ze strony chińskiej.

Chiny najechały Tybet w połowie XX wieku. Efektem trwającej ponad 50 lat okupacji jest śmierć 1,2 miliona Tybetańczyków i zniszczenie ponad 5 tysięcy buddyjskich klasztorów.

IB

Juszczenko oskarża

Prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko zdradził, że deputowany Dawid Żwanija był zamieszany w próbę otrucia go przed czterema laty. Wie też, kto zlecił morderstwo, ale mocodawców ujawni dopiero po zakończeniu toczącego się śledztwa.

Nieudana próba otrucia Wiktora Juszczenko miała miejsce w trakcie kampanii prezydenckiej w 2004 roku. Austriaccy biegli orzekli później, że to dioksyny, silnie toksyczne i rakotwórcze substancje, omal nie pozbawiły go życia. Na twarzy prezydenta do dziś widać ślady po truciznie.

Żwanija, wiązany przez Juszczenkę z nieudaną próbą otrucia, jest deputowanym pro-prezydenckiego bloku Nasza Ukraina – Ludowa Samoobrona. Deputowany twierdzi, że usiłowanie otrucia obecnej głowy państwa to fikcja, wykorzystana w celach politycznych przez sztab wyborczy Juszczenko, a badania przeprowadzone w Austrii zostały sfałszowane.

Prokuratorzy przyznają, że po niemal czteroletnim dochodzeniu nie mają jeszcze podejrzanych o zamach na życie Juszczenko.

JK

Zmarł najstarszy człowiek świata

W Indiach zmarł być może najdłużej żyjący człowiek świata. Habib Miyan – jak sam twierdził – miał 139 lat.

Wokół wieku mężczyzny narosły jednak nieścisłości. Sam Habib Miyan twierdził, że miał 139 lat. Z kolei

z dokumentów wynika, że urodził się 20 maja 1878 roku. Oznaczałoby to, że w chwili śmierci miał 130 lat.

Miyan nigdy nie trafił do Księgi Rekordów Guinnessa.

Oficjalnie uznawano, że najdłużej żyjącym człowiekiem na świecie była Francuzka Jeanne Calment,

która zmarła w 1997 roku w wieku 122 lat.

Według danych amerykańskiego instytutu badań gerontologicznych, obecnie najstarszym człowiekiem świata jest 115-letnia Amerykanka Edna Parker.

KJ

Co się stało w Os

«Akcja wymuszania pokoju» przeprowadzona przez Rosję na terytorium Gruzji na początku sierpnia nie była pierwszym konfliktem zbrojnym na terenie Gruzji. Konflikt wokół Osetii Południowej rozpoczął się wraz z rozpadem ZSRR, w regionie niejednokrotnie dochodziło do krwawych walk. Jednak jak dotąd żadne państwo obce nie ingerowało w tak otwarty sposób w wewnętrzne sprawy Gruzji.

Separatyści z Osetii, jak i Abchazi, postanowili sięgnąć po niepodległość, wykorzystując słabość poradzieckiej Gruzji. Tbilisi nie zamierzało jej uznać, ale z braku sił zaakceptowało *status quo*. Po krwawej, ale krótkiej wojnie na początku lat 90., Osetyjczycy i Gruzini podpisali rozejm, który zamroził konflikt na wiele lat.

Przez całe lata 90. obie strony nie kwapiły się do zmiany sytuacji w regionie. Gruzini, z braku sił i wobec faktycznej zależności ekonomicznej i politycznej od Moskwy, nie odważyli się na pacyfikację separatystów.

Rebeliantów z Cchinwalizadował status quasi-państwowy, który de facto oddawał im pełnię władzy nad terytorium Osetii – z wyjątkiem gruzińskich enklaw, które nigdy Cchinwali się nie podporządkowały.

Zamrożeniu konfliktu patronowała Moskwa, która teoretycznie będąc gwarantem rozejmu (rosyjscy żołnierze pod flagą wojsk pokojowych pilnowali w zbuntowanej republice zawiedzenia broni), faktycznie, acz nieoficjalnie, patronowała osetyjskim separatystom.

Sytuacja wokół Osetii Południo-



ROSYJSCY «MIROTWORCY» NA ULICACH CCHINWALI



WOJNA POZOSTAWIŁA PO SOBIE WIELE ŚLADÓW

wej i Abchazji zmieniła się po dojściu do władzy w 2003 r., w efekcie tzw. Rewolucji Róż, ekipy Michaiła Saakaszwilego. Ten prozachodni polityk za cel postawił sobie reintegrację Gruzji. Pierwszy krok, podporządkowanie innego niesubordynowanego regionu – Adżarii, udał się bez problemów. Z Osetią i Abchazją nowej ekipie w Tbilisi nie

poszło już tak łatwo.

Po początkowych nerwowych próbach rozwiązania siłowego w 2004 r., Saakaszwili postawił na dyplomatyczne rozwiązanie problemu separatystów. Tbilisi, z sukcesami, starało się przeciągnąć na swoją stronę Unię Europejską, NATO, a przede wszystkim Stany Zjednoczone. O ile Europejczycy, z wyjątkiem

Osetii Południowej



PREZYDENT MIEDWIEDIEW ODZNACZYŁ ŻOŁNIERZY 58. ARMII, KTÓRZY WALCZYLI W GRUZJI



100-TYSIĘCNY WIEC SOLIDARNOŚCI W TBILISI, PO ZAKOŃCZENIU WOJNY

kilku stolic m.in. Warszawy, wykazali daleko idącą wstrzemięźliwość wobec planów prezydenta Gruzji, to Waszyngton stał się najważniejszym sojusznikiem Saakaszwilego w odzyskaniu kontroli nad krajem.

Amerykanie, a pośrednio NATO, zaczęli bowiem dostrzegać w silnej Gruzji ważny element gry międzynarodowej. Po pierwsze, po

rozpoczęciu wojen w Iraku i Afganistanie, Gruzja nabrała większego znaczenia jako kraj w miarę bezpiecznego tranzytu surowców z Azji Środkowej i Kaukazu Południowego. Po drugie, wobec rosnącej w siłę Rosji pod rządami Władimira Putina Zachód, w szczególności Waszyngton, potrzebował pewnego sojusznika w regionie tradycyjnie

postrzeganym jak sfera wpływów w Rosji.

W dalszym jednak ciągu konflikt wokół Osetii ograniczał się do dyplomatycznych sporów na linii Tbilisi – Moskwa i sporadycznych starć Gruzynów z separatystami (do najpoważniejszych doszło latem 2006 r.). Przelomem stało się ogłoszenie niepodległości Kosowa w marcu 2008 r. Separatyści gruzińscy, powołując się na kosowski precedens, zażądali od świata uznanie ich państwowości. Rosjanie, idąc im z pomocą, ogłosili zacieśnienie współpracy z Cchinwali, które Tbilisi odebrało jako krok wymierzony wyraźnie w Gruzję.

Od tego czasu nie było tygodnia by między Gruzynami a Osetyjczykami nie dochodziło do starć. W konflikt bezpośrednio zaangażowała się też Rosja – rosyjscy żołnierze, jak twierdziła Moskwa – bez broni, wkroczyli do Osetii, a Gruzini oskarżyli rosyjskie lotnictwo o zestrzelenie ich samolotów bezzałogowych.

W sierpniu jednak konflikt wybuchł z niespotykaną dotąd siłą. W odpowiedzi na osetyjskie ataki, jak podkreśla Tbilisi, Gruzja rozpoczyna operację w celu «przywrócenia konstytucyjnego porządku» w Osetii Południowej. Wojska gruzińskie zaatakowały Cchinwali. W odpowiedzi Rosja rozpoczęła w Gruzji operację wojskową nazwaną przez Kreml «akcją wymuszania pokoju». Wywołało to oburzenie państw zachodnich, między innymi dlatego 12 sierpnia, po pięciu dniach walk, rosyjska operacja wojskowa w Gruzji zostaje wstrzymana. 26 sierpnia prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew podpisał ustawę, według której Rosja uznała niepodległość Osetii Południowej i Abchazji i wystąpiła jako gwarant pokoju na tych terytoriach.

MACIEJ TOMASZEWSKI



SOWIECI UŻYLI CIĘŻKIEGO SPRZĘTU, ŻEBY ZDŁAWIĆ ZAŁĄŻKI DEMOKRACJI W CZECHOSŁOWACJI W 1968 R.

Czechy – 40 lat po okupacji

Noc z 20 na 21 sierpnia 1968 roku. W Czechosłowacji trwa Praska Wiosna, czyli walka o demokratyzację ustroju komunistycznego. Inwazja wojsk ZSRR, Polski, NRD, Węgier i Bułgarii tłumi jednak tę nadzieję. 40 lat po tym wydarzeniu nie ma już Czechosłowacji, ale Czesi tamtego dramatu nie zapomnieli.

W Pradze odbyły się oficjalne obchody rocznicy tych wydarzeń. W siedzibie czeskiego Senatu przedstawiono konferencję «40 lat po okupacji». Uczestniczyli w niej historycy, politycy, politolodzy, wojskowi i przedstawiciele zagranicznych placówek dyplomatycznych.

W ogrodach Pałacu Valdsztejnskigo, który jest siedzibą Senatu, otwarto wystawę fotografii i plakatów z sierpnia 1968 roku. Był też eksponowany sprzęt wojsk okupacyjnych. Wystawę, która nosi nazwę «Za naszą i waszą wolność», uroczystie otworzył premier Czech Mirek Topolánek. Czeski prezydent Vaclav Klaus wygłosił przemówie-

nie okolicznościowe i spotkał się z żołnierzami, którzy odważyli się sprzeciwić się siłom interwencyjnym.

– Wydarzenia Praskiej Wiosny dawały nadzieję, że Czechosłowacja stanie się częścią demokratycznego świata. To była wielka nadzieja, wówczas wszystko wydawało się możliwe – uważa czeski historyk Antonin Benczik, autor książki «Requiem dla Praskiej Wiosny». Jednak interwencja wojsk Układu Warszawskiego przekreśliła tę szansę i stała się bezpośrednią przyczyną porażki Praskiej Wiosny.

Operacja «Dunaj», nazywana «braterską pomocą», stanowiła największe manewry wojskowe w Europie od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Do Czechosłowacji wkroczyło ok. 750 tysięcy żołnierzy, 6300 czołgów, 2000 dział, 550 samolotów bojowych i 250 transportowców. Siły polskie, niemieckie, węgierskie i bułgarskie opuściły Czechosłowację po kilkudziesięciu dniach. Wojska radzieckie zostały tam na 23 lata.

Islam się feminizuje?

Po raz pierwszy w historii islamu kobieta udzieliła ślubu. Podczas ceremonii, już przy podpisywaniu samego aktu zaślubin, złamano tradycję. Nie dopuszczono tam mężczyzn, jak wymaga tego religia, a jedynie cztery kobiety.

Zaślubiny odbyły się pod koniec sierpnia w Indiach. Państwo młodzi, Naish Hasan a Imranem Alim, na co dzień żywo angażują się i pracują w instytucji wspierającej obronę praw muzułmańskich kobiet. Tradycyjnie małżeństwa w religii islamskiej udziela mężczyzna, najczęściej przywódca duchowy lokalnej społeczności. Dlatego ta niecodzienna ceremonia zaślubin wzbudziła tak wiele kontrowersji. Jeden z wpływowych ośrodków tej wiary nazwał ją «afrontem dla islamu». Wydarzenie to spotkało się również z ostrą reakcją ze strony konserwatywnych instytucji islamskich, zwłaszcza wpływowego ośrodka intelektualnego Dar-ul-Uloom. Zdaniem innej muzułmańskiej grupy Idgah Committee, w świetle prawa islamskiego małżeństwo zawarte w ten sposób jest nieważne.

Islamskie organizacje praw człowieka określiły ten postępek jak «symboliczny krok naprzód w wyzwolaniu islamskich kobiet». Ceremonia została wcześniej uświęcona przez specjalny organ islamski, który wyznacza zasady postępowania w takich sprawach jak ślub, rozwód czy spadek. Ogólnoindyjska rada praw muzułmanów, «All India Muslim Personal Law Bard», wyraziła zgodę na tę nieortodoksyjną ceremonię.

Islam pozostaje jedną z najbardziej konserwatywnych religii na świecie. Rola kobiet w islamie jest bardzo ograniczona.

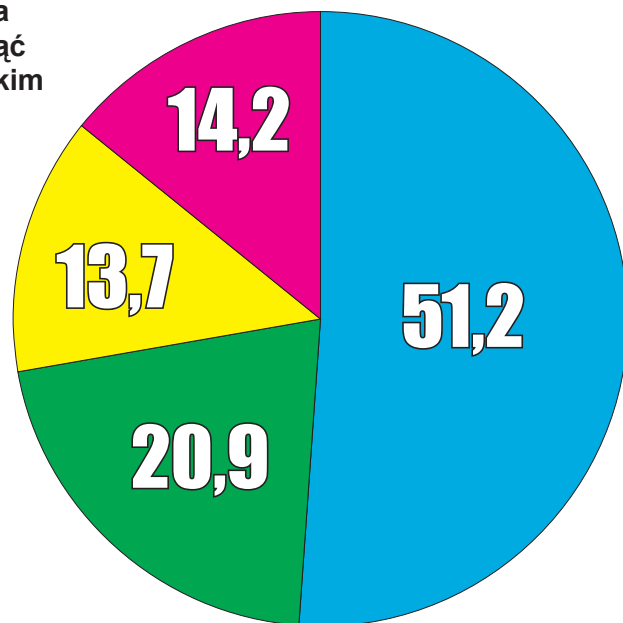
IB

HB

Rozmowy są niezbędne

W sondzie, przeprowadzonej przez Niezależny Instytut Badań Społeczno-Gospodarczych oraz Politycznych (NISEPI) w czerwcu, przepytującym zadawano pytanie «Wielu na Zachodzie uważa, że władze Białorusi powinny rozpocząć dialog nie tylko z Unią Europejską, ale i z opozycją. Z jakim z poniższych zdań państwo się zgadzacie?»:

- Rozmowy z opozycją są potrzebne, ponieważ tylko poprzez rozmowy można dojść do porozumienia oraz uwzględnienia różnorodnych interesów w naszym społeczeństwie.
- Takie rozmowy nie są potrzebne, ponieważ opozycja nikogo nie reprezentuje i władze nie mają o czym z nią rozmawiać.
- Takie rozmowy nie są potrzebne, ponieważ z władzą, która łamie prawa człowieka, opozycja nie powinna rozmawiać, tylko musi zmusić ją [władzę] do respektowania prawa.
- Nie mam zdania



Sondę przeprowadzono w czerwcu 2008r. metodą face-to-face interview. Udział w sędzie wzięły 1502 osoby w wieku od 18 lat. Błąd statystyczny wynosi 0,03%.

Powiedzieli...



Foto ByMedia.net

Gdyby sytuacja z prawami człowieka na Białorusi zmieniała się na lepsze, gdyby odbyły się demokratyczne wybory, gdyby zwolniono wszystkich więźniów politycznych, gdyby zaprzestano nagonki na niezależne media, wtedy nie byłoby potrzeby w sankcjach.

ALCEE L. HASTINGS,
WSPÓLPRZEWODNICZĄCY KOMISJI
HELŚIŃSKIEJ SENATU USA

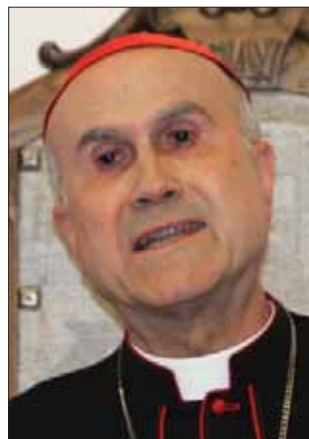


Foto ByMedia.net

Piłka nożna to jest wspaniała gra, która łączy ludzi. W niej nie ma miejsca na politykę. I bardzo dobrze.

KARD. TARCISIO BERTONE,
WATYKAŃSKI SEKRETARZ STANU
W WYWIADZIE DLA TELEWIZJI
BIAŁORUSKIEJ



Foto ByMedia.net

Ukraina zatrzeszczy w szwach, gdy tylko pomarańczowi faktycznie spróbują wciągnąć ją do NATO. A jeśli chodzi o bazę w Sewastopolu, to ona nigdzie się nie przeniesie. Po prostu nie ma gdzie.

DMITRIJ ROGOZIN,
AMBASADOR ROSJI PRZY NATO



Foto ByMedia.net

Internet na Białorusi był, jest i będzie wolnym. Ani jutro, ani pojutrze, ani za rok, ani za dwa lata żadnych ataków na Internet ze strony władz nie ma co oczekiwać.

WSIEWOŁOD JANCZEWSKIJ,
KIEROWNIK DZIAŁU IDEOLOGII
ADMINISTRACJI PREZYDENTA,
KOMENTUJĄC NOWĄ
USTAWĘ O MEDIACH

15-lecie Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej



W IMIENIU CZŁONKÓW ORGANIZACJI GRATULACJE Z OKAZJI 15-LECIA DZIAŁALNOŚCI ORGANIZACJI PRZYJĘŁA PREZES STOWARZYSZENIA WERONIKA SEBASTIANOWICZ (W ŚRODKU)

Życzenia Kujawskiej



ŻYCZENIA ZEBRANYM ZŁOŻYL WICEPREZES ZPB JÓZEF PORZECKI



Z KAŻDYM ROKIEM TYCH, KTÓRZY ZBROJNIE SPRZECIWIALI SIĘ «WYZWOLIENIU» PRZEZ ZSRR JEST CORAZ MNIEJ



W SZEREGACH AK WALCZYŁY RÓWNIEŻ KOBIETY



Znasz li ten kraj

W lipcu kilkusobowa grupa młodzieży z Polskiej Szkoły Społecznej przy ZPB w Grodnie została zaproszona do udziału w warsztatach międzynarodowych pod hasłem «Znasz li ten kraj», które odbywały się w Krynicy Zdroju – pięknym miasteczku położonym w górach Beskidach. Oprócz grupy z Białorusi do uczestnictwa w warsztatach została zaproszona również młodzież polska oraz polonijna ze Szwecji, Rumunii, Ukrainy i Słowacji.

Warsztaty są organizowane przez Stowarzyszenie «Wspólnota Polska» i mają na celu pomóc w nawiązaniu kontaktów między młodzieżą polską oraz polonijną z różnych państw, poszerzyć ich wiedzę na temat kultury oraz tradycji kraju ich przodków – Polski.

Młodzi ludzie po zapoznaniu się nawzajem już po kilku dniach tworzyli bardzo zżytą i zintegrowaną grupę. Pomogły temu, bez wątpienia, prezentacje poszczególnych państw, przedstawiciele których uczestniczyli w warsztatach. Każda grupa miała «swoją wieczór», podczas którego miała możliwość opowiedzieć o kraju czy mieście, z którego przyjechała, o jego kulturze i historii.

Również młodzież z Grodna przygotowała prezentację swego kraju: uczestnicy i organizatorzy warsztatów dowiedzieli się wiele ciekawych rzeczy o Białorusi, o burzliwej historii Kresów, o zabytkach Grodna i Grodzieńszczyzny, o wybitnych postaciach związanych

z naszą ziemią. Była również mowa o obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej, w tym również o Związku Polaków na Białorusi.

Program warsztatów był bardzo bogaty w różne spotkania i wyjazdy. Odbywały się dyskusje oraz najrozmaitsze prezentacje. Często grafik był tak wyteżony, że młodzież nie miała nawet czasu na odpoczynek.

Podczas wycieczki do byłej stolicy Polski – Krakowa, młodzież miała możliwość odwiedzić Dom Polonii i poznać organizatorów warsztatów, pospacerować po grodzie nad Wisłą, zwiedzić zabytki tego pięknego miasta. Odbyła się również wycieczka do Wadowic – rodzinnego miasta Sługi Bożego Jana Pawła II, gdzie oprócz zwiedzania domu rodzinnego Papieża młodzież miała świetną okazję spróbować słynnych kremówek papieskich.

Wielkie wrażenie na wszystkich uczestnikach warsztatów wywarło zwiedzenie Miejsca Pamięci i Muze-

um Auschwitz–Birkenau, gdzie większość młodych ludzi była po raz pierwszy. Pamięć o tragedii, która wydarzyła się w tym i podobnych obozach koncentracyjnych musi pozostawać w przyszłych pokoleniach, żeby nigdy więcej coś tak okropnego nie mogło się powtórzyć.

Warsztaty odbywały się w Krynicy Zdrój, dlatego młodzież miała okazję spotkać się z burmistrzem miasta Krynica Emilem Bodzionym, który opowiedział wszystkim o historii, o obecnym stanie miasta i o planach na przyszłość dotyczących jego rozwoju. Krynica Zdrój jest przede wszystkim znana z tego, że tu się znajdują źródła wód mineralnych. Uczestnicy warsztatów również mogli korzystać z tych źródeł w wolnych chwilach.

W ciągu dwóch tygodni, bo właśnie tyle trwały warsztaty, młodzi ludzie stali się prawdziwą rodziną. Świetna, wręcz domowa atmosfera, pomogła w głębszej integracji młodzieży. I o to przecież chodziło – żeby młodzi Polacy z różnych państw, tych bliskich i tych dalekich poczuli to coś, co ich łączy, to coś, z czego mogli sobie nie zdawać sprawy, ale bez czego nie byłiby sobą. Chodzi, oczywiście, o Polskość.

Zdaniem większości uczestników, takie spotkania dla polskiej młodzieży są naprawdę bardzo ważne, bo dają możliwość poznać nowych ludzi. Warsztaty kształcą młodzież, dają jej możliwość jeszcze głębiej poznać Polskę, jej język, historię, kulturę, podzielić się swoimi umiejętnościami, a poza tym – świetnie spędzić wakacje.

Gdy nadszedł czas rozstawania, wszystkim było niezmiernie żal, że czas warsztatów tak szybko upłynął. Jednak młodzi ludzie rozjechali się, z nadzieją, że jeszcze kiedyś uda im się spotkać razem. A jeśli nawet im tego się nie uda, to i tak pozostanie w sercach to coś, co będzie ich łączyło nawet na odległości tysięcy kilometrów. Tym czymś jest, oczywiście, Polska.

ALINA TAWREL



ZWIĘSKA EKIPA POLSKIEGO KLUBU SPORTOWEGO «SOKÓŁ» Z GRODNA

«Sokół» – góra!

15–20 lipca w Łowiczu odbyły się Pierwsze Polonijne Mistrzostwa w Piłce Siatkowej. Impreza stała się miejscem do popisu dla sportowców z PKS «Sokół» z Grodna. Drużyna męska zdobyła w turnieju pierwsze, a kobieca – drugie miejsce.

Oprócz drużyn z Białorusi na zawody przybyli również sportowcy polonijni z Litwy, Austrii, Niemiec, miasto Łowicz również wystawiło swoją ekipę. Pięć dni minęło w zaciętej, ale mimo tego życzliwej, atmosferze sportowej rywalizacji.

Organizacja imprezy była na najwyższym poziomie za co podziękowania należą się radzie miasta Łowicz oraz osobiście Krzysztofowi Miklasowi, który osobiście zadbał, żeby uczestnikom zawodów niczego nie brakowało,

i by mogli się skupić wyłącznie na występach.

Trzeba powiedzieć, że zespoły występujące na imprezie nie zawsze składały się z amatorów. Tak, męski zespół z Litwy, z którym po zaciętej walce w finale wygrał PKS «Sokół», na codzień bierze udział w rozgrywkach litewskiej ligi siatkowej. Dlatego warto podkreślić, że bez wspaniałej pomocy trenera Igora Prigodicza zespoły z Grodna nie osiągnęłyby tak wspaniałego wyniku.

Pozostaje tylko się cieszyć z zasłużonego sukcesu PKS «Sokół» i życzyć, jak drużynie męskiej tak i kobiecej, żeby nie odpuściły sobie treningów i podtrzymywały dobrą formę sportową, bo w następnych Polonijnych Mistrzostwach w Piłce Siatkowej na pewno wystąpią już w roli faworytów

WIKTORIA KOZŁOWSKA



WARSZTATY LUBELSKIE

Po raz pierwszy Stowarzyszenie «Wspólnota Polska» zorganizowało w Lublinie warsztaty dla dziennikarzy polonijnych i po raz kolejny dla lekarzy z Białorusi, Ukrainy, Rosji, Litwy i Kazachstanu. Grupa członków ZPB z mińskiego oddziału wzięła udział w szkoleniu.

Stowarzyszenie «Wspólnota Polska» na różne sposoby wspiera Polaków z Białorusi, Ukrainy, Litwy, innych państw, pomaga im w zachowaniu oraz rozwoju kultury polskiej, głównie języka, tradycji i spuścizny kulturowej, rozszerzeniu i pielęgnowaniu kulturalnych i społecznych stosunków z Polską, polską diasporą w świecie.

W Lublinie uczestników powitał dyrektor Domu Polonii Dariusz Śladecki, który opowiedział gościom o historii powstania oddziału stowarzyszenia w Lublinie oraz o jej działalności w ostatnich latach. Ważne miejsce w działalności lubelskiej «Wspólnoty Polskiej» zajmuje

pomoc Polakom na Białorusi, stąd pomysł, by na warsztaty dziennikarskie zaprosić przedstawicieli polskich mediów z Białorusi.

Dziennikarze przez dwa tygodnie doskonalili w Lublinie swoje umiejętności zawodowe, poznawali teorię oraz odbywali praktykę. Warunki były maksymalnie zbliżone do codziennego kołowrotka, który panuje w «kuchni» każdego wydawnictwa w Polsce. Jeśli ktoś przedtem jeszcze miał mgliste pojęcie o dziennikarstwie, to na warsztatach miał możliwość poznania od środka wszystkich tajemnic zawodu oraz upewnienia się, czy to jest zawód, któremu warto poświęcić życie. Ponadto warsztaty były cudowną szlifierką języka polskiego!

Oprócz zajęć z praktyki dziennikarskiej i lekarskiej, na uczestników warsztatów czekały piękne wykłady z literatury polskiej. W międzyczasie wspólnota dziennikarska i lekarska wyjeżdżała na wycieczki. Podróże były zorganizowane punktualnie, program rozpisany co do minuty. Polacy ze Wschodu zwiedzili Lublin, Stare Miasto w

Zamościu, Sanktuarium w Kodniu, muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie, kaplicę Św. Trójcy na Zamku. Wielkie wrażenie na wszystkich wywarła wizyta w Domu Nadziei dla niewidomych kobiet w Żułowie. Odwiedzono również redakcje dwóch lubelskich gazet: «Nowego Tygodnia» i «Gazety Wyborczej».

Warsztaty przybliżyły historię, kulturę i język polski Polakom ze Wschodu. Organizatorzy mają nadzieję, że warsztaty te staną się punktem odniesienia dla wszystkich uczestników, a zdobyta w ich trakcie wiedza pomoże w codziennej pracy. Za ten niezwykle cenny nabytek, za możliwość obejrzenia i zwiedzenia wielu pięknych miejsc historycznych w Lublinie i poza Lublinem, za gościnność oraz mile serce i mile słowo, za wsparcie i za wszystko dobro organizatorom należą się szczerze podziękowania. Na pewno w następnym roku kolejna grupa Polaków ze Wschodu będzie mogła dzięki ich uprzejmości lepiej poznać swoją Macierz.

POLINA JUCKIEWICZ

Język polski na sportowo

Co roku w Poznaniu dla młodzieży polonijnej jest organizowany obóz języka polskiego sportu i turystyki. W tegorocznym obozie, który odbył się w sierpniu br. udział wzięli młodzi ludzie z siedmiu państw: Białorusi, Ukrainy, Rosji, Rumunii, Węgier, Macedonii i Kazachstanu.

Na młodych Polaków z całej Europy czekał bardzo ciekawy i nasycony program, mile towarzystwo oraz świetnie wyszkolona kadra. Pierwszy tydzień pobytu w Polsce młodzież spędziła w Poznaniu. Była to wspaniała integracja dla całej grupy jak również okazja do tego, żeby dowiedzieć się więcej o historii Poznania oraz Wielkopolski.

Oczywiście zwiedzanie Poznania rozpoczęło się od zwiedzania starówki oraz jej zabytków. Młodzież miała okazję zobaczyć słynnych koziołków na wieży ratuszowej, które od dawna są symbolem tego miasta. Zwiedzono również Muzeum Narodowe, Muzeum Archidiecezjalne, znajdujące się obok katedry poznańskiej na Ostrowie Tumskim, w którym można było podziwiać replikę miecza św. Piotra.

Tydzień w Poznaniu minął szybko, ponieważ jak to u młodzieży: spraw było tak dużo, a obowiązków – żadnych, więc każda wolna chwila została wykorzystana na to, żeby dobrze się zabawić. Jednak po tygodniu w Poznaniu młodzież została przeniesiona do ośrodka wypoczynkowego w Gozdawie koło



POLSKA MŁODZIEŻ AŻ Z SIEDMIU PAŃSTW ZEBRAŁA SIĘ W OKOLICY POZNANIA

Mogilna, gdzie miała spędzić kolejne dwa tygodnie. Właśnie tam młodzi Polacy odczuli w pełnej mierze, że jednak jest to obóz językowo-sportowy.

Codzienna zaprawa poranna, gra w siatkówkę, koszykówkę, piłkę nożną, pin-ponga, mini-hokeja, tenis ziemny, pływanie i ciągle zajęcia na sali sportowej nie pozostawiały czasu do nudy. Pod koniec pobytu w Gozdawie odbyła się olimpiada sportowa, w której każdy uczestnik obozu mógł wziąć udział i zaprezentować siebie w wybranej dyscyplinie sportowej. Na zwycięzców, oczywiście, czekały nagrody, ale i tak przegranych nie było.

Nie można jednak zapomnieć, że był to także obóz języka polskiego. Codziennie przez 3 tygodnie pobytu w Polsce młodzież polonijna miała lektoraty języka polskiego. Wszyscy uczestnicy obozu zostali podzieleni na trzy grupy zgodnie z poziomem znajomości języka polskiego, dlatego nikt nie czuł dyskomfortu. Na

zajęciach młodzi ludzie doskonalili swoją znajomość języka oraz literatury polskiej, bliżej poznawali kulturę polską. A że ważnym elementem poznawania kraju ojczystego jest poznanie jego historii, to młodzież polonijna zwiedziła pierwszą stolicę Polski – Gniezno, muzeum archeologiczne w Biskupinie, Mysią Wieżę w Kruszwicy, była też wycieczka pięknym statkiem po jeziorze Gopło, oraz do Torunia – miasta rodzinnego Mikołaja Kopernika – wielkiego astronoma i naukowca.

Głównym celem, obozu zorganizowanego przez Stowarzyszenie «Wspólnota Polska» była nie tylko organizacja dobrego odpoczynku dla młodzieży polskiej, ale przede wszystkim zbliżenie jej z językiem, historią i kulturą polską, z którą na codzień nie mają styczności w krajach swojego zamieszkania, a przecież to właśnie pamięć historyczna oraz znajomość języka stanowi o tożsamości młodych Polaków – szczególnie tych, którzy na codzień mieszkają poza granicami Macierzy.

ALINA TAWREL

Fajerwerki nad żłobkiem

Na początku lat 80. ubiegłego stulecia w środku wiosny byłem w delegacji służbowej w obwodzie mohylewskim akurat w Szklowie, gdyby ktoś nie pamiętał, to jest to «mała» ojczyzna obecnego prezydenta Białorusi. Zostałem ogromne kałuże nawet na centralnych ulicach miasta, porozbijane drogi i zabłocone chodniki, z powodu tego wszystkiego mój samochód wyglądał okropnie. Po obiedzie w miejscowej stołówce towarzyszący mnie kolega zapytał u siedzącego obok miejscowego mężczyzny, dlaczego tutaj, w Szklowie, jest tyle brudu i są tak okropne drogi. «A skąd jesteście?» – zapytał z kolei tamten. Po usłyszeniu, że przyjechaliśmy z Grodna, bez cienia namysłu odparł: «Przecież w porównaniu z nami macie władzę radziecką od niedawna, bo praktycznie od końca wojny».

Co ten epizod ma wspólnego z tym artykułem? Otóż właśnie czas – mianowicie czas panowania władzy radzieckiej, bo i ta obecna teraz na Białorusi, sprawowana jest przecież przez jej wiernych i oddanych naśladowców. Łatwo obliczyć, że względem długości trwania tej władzy radzieckiej, my tutaj, w Grodnie, jak i ogólnie na Białorusi Zachodniej mniej więcej jesteśmy na etapie Szklowa w latach 80. zeszłego wieku. Z tą jedynie różnicą, że zanieczyszczone z wieczora łuskami słonecznika i pustymi butelkami po piwie ulice miasta są z rana starannie sprzątane przez starsze panie w kamizelkach odbłaskowych, natomiast umysły obywateli z jeszcze większą starannością cała machina propagandy oficjalnej, bez skrupułów stosująca diabelskie metody wykorzystywania ludzkich słabości, stara się doprowadzić do tych szarych obrazków Szklowa.

Włodarze kraju, zniewoleni strachem utraty panowania, systematycznie i konsekwentnie zaprowadzają swoje «porządki», ustawicznie dążąc do doprowadzenia do stanu nieodwracalności swoich «osiągnięć» przede wszystkim w sferze publicznej i mentalności obywateli, zwłaszcza młodzieży, mając na celu zapewnie-



DZISIEJSZA BIAŁORUŚ POZOSTAJE OBECNIE MNIJ WIĘCEJ NA ETAPIE SZKŁOWA ZA CZASÓW ZSRR

nie ciągłości władzy nawet w skrajnym wypadku zmiany lidera, i co za tym idzie – nietykalności osobistej oraz własnych «oszczędności» finansowych czy majątku materialnego. Wygląda jednak na to, że w ostatnim czasie przywódcy Białorusi coraz bardziej jasno uświadamiają sobie, że obecnie wszystkie możliwości autorytarno-administracyjnego sposobu rządzenia zostały wyczerpane i niezbędne jest formowanie gospodarki kraju. Że szara codzienność radykalnie różni się od świątecznych, tryskających optymizmem obrazków z programów BT, przeciętny obywatel ma możliwość upewnić się za każdym razem, oglądając cenniki towarów na półkach pierwszego lepszego sklepu spożywczego. Przypomnijmy narastającą ekonomiczną zależność od «starszego brata» ze Wschodu, niepewność wynikająca ze zmian na Kremlu, bliskie członkowskie Rosji w Światowej Organizacji Handlu, narastająca przestępczość, korupcję nawet na wyższych szczeblach władzy... Najbardziej wymownym świadectwem «białoruskiego cudu gospodarczego» stało się z pewnością odebranie ulg socjalnych m.in. najwerniejszemu elektoratowi głowy państwa – emerytom i rencistom. Banalny brak pieniędzy! Można jak chcesz pozować przed kamerami na kupie złożonej ze sztabek złota, to nie dodaje optymizmu nawet pijakowi, któremu brakuje na kolejną flaszkę.

Reformowanie gospodarki oznacza jej liberalizację – innej drogi nie ma, bo jak dotychczas żadne inne systemy nie sprawdziły się, łącznie z rozwiniętym socjalizmem ZSRR. Natomiast liberalizacja gospodarki niesie za sobą zagrożenie utraty części kontroli ze strony państwa nad procesami ekonomicznymi. Jest w tym chyba najistotniejsze zagadnienie, ponieważ zgodnie z mentalnością prezydenta, według którego nawet drobny, ale działający «na własną rękę» przedsiębiorca jest oszustem i

spekulantem, – utrata pewnej części równa się utracie odpowiedniej części tak umiłowanej władzy. Stąd tak częste ostatnio zagraniczne wojaże – do Wenezueli, Iranu, Chin, Wietnamu – poszukiwanie przy okazji nie tylko sprzymierzeńców czy kontraktów dla białoruskiego przemysłu, lecz także sposobów na skuteczne rządzenie i przeniesienie odpowiednich wzorców na białoruskie realia. Stąd nasilona aktywność białoruskiej dyplomacji, zakulisowe rozmowy z Niemcami, Francuzami, a nawet ze znienawidzonymi Amerykanami, stąd ukłony w kierunku UE i próby stworzenia chociażby pozorów demokracji. Czym się skończyły te próby – komentarze po wydarzeniach «Dnia Woli» w Mińsku i dwóch dni później, są raczej zbędne.

Może ta władza i chciałaby inaczej. Niestety, nie potrafi ze względu na swoją istotę. Natomiast utrzymanie władzy faktycznie absolutnej wymaga totalnej kontroli nad wszystkim i wszystkimi. «Kieszonkowe» – parlament, prasa, media, kultura i sztuka, związki zawodowe... W 2005 roku przyszła kolej na ZPB. Rok później – ostateczne zaprowadzenie porządku w Kościele katolickim – wywalenie z kraju pod koniec roku większej grupy polskich księży i siostr zakonnych. Sukcesy urzędników do spraw religii uwieńczono na Boże Narodzenie 2007r. – zamiast «Cichej nocy» i Gwiazdy Betlejemskiej – fajerwerki nad żłobkiem Dzieciątka Jezus w stolicy kraju. Triumf zła ostatecznie przypieczętowano pocałunkami zwierzchnika Kościoła rzymskokatolickiego, arcybiskupa-Polaka Tadeusza Kondrusiewicza z «prawosławnym ateistą» w drugim dniu Świąt Zmartwychwstania Pańskiego bieżącego roku.

Mam cichą nadzieję, że zwierzchnik Kościoła wie, co robi i zdaje

sobie sprawę z konsekwencji tych pocałunków dla naszej przyszłości. Przy tym z władzą państwową w jej stosunku do Kościoła niby wszystko jest jasne. Dobrze pamiętam transmitowane przez telewizję białoruską sprzed kilku lat spotkanie prezydenta Łukaszenki z Kardynałem Kazimierzem Świątkiem oraz biskupami grodzieńskimi Aleksandrem Kaszkiewiczem i Antonim Dziemianką, obiecanki pomocy Kościołowi ze strony prezydenta w zamian za współpracę ... i nieco zagubioną, z niekrytym zdziwieniem na te słowa twarz biskupa Dziemianki. Zupełnie niedawno, w uzasadnieniu ostatniej decyzji o wydaleniu z kraju polskiego księdza Chudziaka, z ust «wiertikalszczyka» padły znowuż słowa o współpracy: «księża powinni współpracować z władzą...»

Utrzymanie władzy absolutnej wymaga totalnej kontroli nad wszystkim i wszystkimi.

«Kieszonkowe» – parlament, prasa, media, kultura i sztuka, związki zawodowe...

inni współpracują, a ks. Chudziak nie chciał...» Z pewnością słowa te nie są puste, a ilu w rzeczywistości jest tych innych księży – jak na razie wiadomo tylko odpowiednim służbom oraz mam nadzieję, że w przyszłości dowiemy się wszyscy chętni. Nie ulega też złudzeniu, o jaką współpracę z księżmi chodzi urzędnikom państwowym oraz, że są co najmniej jawne próby ze strony państwa wykorzystania autorytetu Kościoła katolickiego w swych celach ideologiczno-propagandowych, a przy okazji – z uwagi na jego ścisły związek ze Stolicą Apostolską – sprzyjaniu legalizacji białoruskiego reżimu w oczach Zachodu i wejścia Łukaszenki na salony europejskie. Wierzchołek tej «góry lodowej» współpracy od pewnego czasu da się zauważyć gołym okiem. O nasilającej

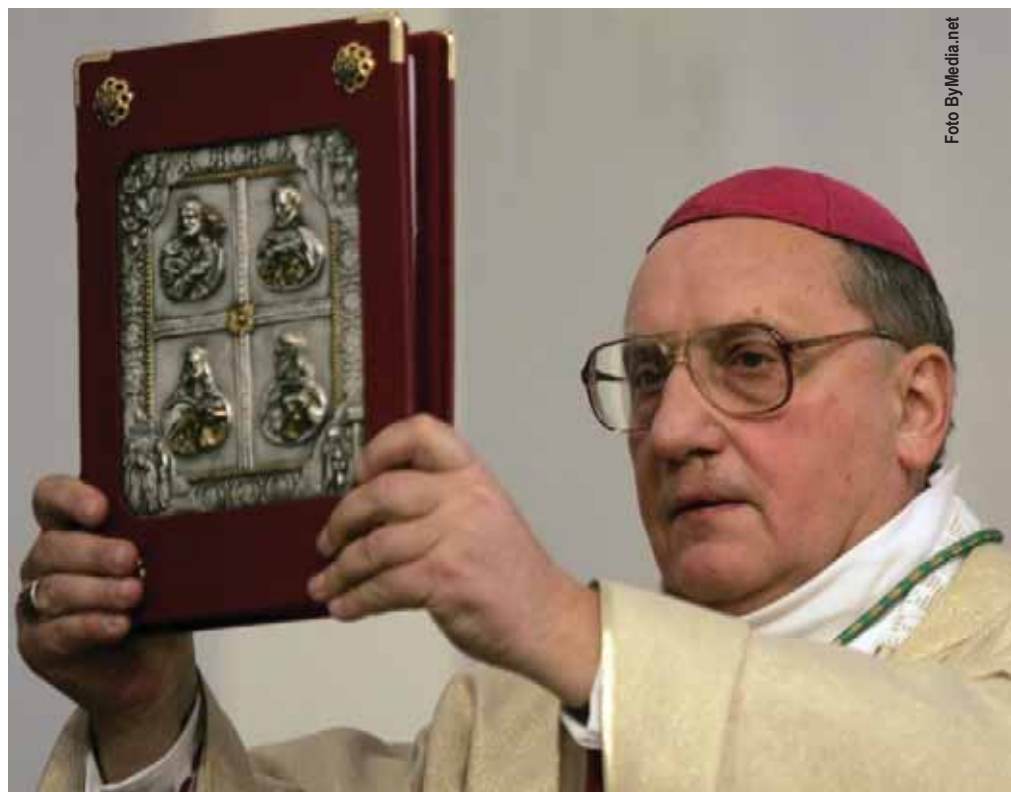
się białorutenizacji Kościoła katolickiego w swoim artykule pt. «Czas działa na naszą niekorzyść» umieszczonym w «Myśli polskiej» z dn. 10.03.2008 r. pisze ks. Jan Puzyna, proboszcz z Oszmiany. Jest bardzo ciekawym, czy inicjatorem wspomnianej powyżej białorutenizacji są władze kościelne, czy to się odbywa pod presją państwa. A może jedno i drugie? Może to tylko my, zwykli obywatele, za prorosyjską retoryką państwowych urzędników na wszystkich szczeblach i przy każdej okazji, wielokrotnie wzmocnioną przez środki masowego przekazu, jakoś przestaliśmy dostrzegać, że od pewnego czasu żyjemy w formalnie niezależnym państwie. Może pewna część hierarchii Kościoła w tej sytuacji, wybierając kierunek białorutenizacji, chce zapewnić trwałą pozycję Kościoła na Białorusi na przyszłość? Na to wygląda. Co innego już to, jaka ta przyszłość będzie oraz co innego, że pod podwaliny kościoła na Białorusi ofiaruje się godność i uczucia tych, komu ten Kościół zawdzięcza własne na tych ziemiach przeżycie.

Co ja osobiście mam do tego wszystkiego? Przecież jestem zwykłym człowiekiem, a otaczającą mnie rzeczywistość odbieram jedynie poprzez pryzmat własnych wartości, które wyniosłem z domu rodzinnego i których musiałem bronić przez całe swe życie z uwagi na to, że na swojej ojczyźnej ziemi należę do mniejszości narodowej. Również obronie tychże wartości poświęcam niniejszy artykuł, jednocześnie próbując odpowiadać na pytanie, czy jest w przyszłości na tej ziemi miejsce na moją polskość, nawet w matczyńskim Kościele katolickim? Trudno jest milczeć, kiedy przez panowanie wszechobecnego chamstwa wszyscy pomalu stajemy się tym szklowskim błotem pod nogami gospodarza kraju, i nie można milczeć, kiedy zło przenika do naszych świątyń. Bo przyszłość tworzy się i jest budowana teraz i

dzisiaj, i tylko wbrew pozorom nie mamy na to wpływu, bo jeżeli już nie mamy – to wyłącznie przez naszą obojętność. Przecież o tym, co mówi proboszcz z Oszmiany, co od dawna u wielu budziło niepokój, jakoś dotychczas nikt się nie wypowiedział. Niestety, muszę przyznać rację księdzu Puzynie, jak również profesorowi Grottowi i jego smutnej wizji perspektyw przetrwania naszej polskości na Białorusi. Dlaczego

odpowiedź na powyższe pytanie jest bardzo złożona, ponieważ dotyczy naszych sumień, a to już sprawy w każdym poszczególnym przypadku nieraz bardzo osobiste i powikłane i najlepiej się stanie, jeżeli na to pytanie każdy odpowie osobiście.

Natomiast odpowiedzi na postawione przez prof. B. Grotta w jego artykule «Polacy na Białorusi. Perspektywy przetrwania?» [Magazyn Polski, nr 11–12 2007r.] pytanie,



«PEWNA CZĘŚĆ HIERARCHII KOŚCIOŁA, WYBIERAJĄC KIERUNEK BIAŁORUTENIZACJI, CHCE ZAPEWNIĆ TRWAŁĄ POZYCJĘ KOŚCIOŁA NA BIAŁORUSI NA PRZYSZŁOŚĆ...»

tak się dzieje i co z nami się dzieje? Jest oczywiste, że mający miejsce proces białorutenizacji Kościoła katolickiego na Białorusi, to w dużym stopniu jedynie skutek naszego wynarodowienia. Ale czy degradacja tradycyjnych polskich wartości w naszym środowisku to tylko skutek czynników zewnętrznych, wywołanych celowo antypolską polityką ZSRR i postradziecką RB? Łatwo i najprościej by było o odpowiedź twierdzącą. Ale z pewnością tak nie jest. Bo z przykładów tylko jawnej i celowej kolaboracji naszych rodaków z panującymi przez dłuższy czas reżimami można by napisać tomy dramatów i komedii. A więc

tak naprawdę nikt dokładnie nie wie. Można jedynie przypuszczać, że tylko na pewno przetrwają polskie krzyże i polskie nagrobki na mogiłach naszych przodków, na pewno przetrwa pamięć o swoich polskich rodzicach i dziadkach u młodszego pokolenia rodaków, na pewno przetrwają poszczególni polscy patrioci. A czy przetrwamy jako wspólnota mniejszości polskiej na Białorusi, która ma coś do powiedzenia? Choć w dużym stopniu utraciliśmy możliwość decydowania o sobie sami, i nasze losy ważą się raz w Mińsku, raz w Warszawie, osobiście uważam, że mamy tę szansę tak długo, jak długo

wytrzymają pod presją władz prawowici reprezentanci naszej polskiej mniejszości, nieuznawani przez władzę, ale wybrani legalnie większością naszych przedstawicieli z całej republiki na ostatnim «przedzoborowym» Zjeździe ZPB w marcu 2005r. Bo bez własnej zorganizowanej reprezentacji będziemy jako Polacy ostatecznie wyparci na margines społeczeństwa. Niestety, i tutaj brak optymizmu, ponieważ pomijając wszelkie działania obecnej władzy, mające na celu dyskredytację działaczy nieuznawanego Związku, coraz częściej w wypowiedziach polityków i innych głosach w mediach polskich słychać nawoływania do zmiany polityki państwa polskiego w stosunku do Białorusi, i co za tym idzie – do ZPB. Można zrozumieć, kiedy takie nawoływania pochodzą z kręgów polityków lewicowych lub PSL-owskich. Dla wielu z nich w czasach PRL za wschodnią granicą na ogół nie było żadnych Polaków – mówię to, bo osobiście niejednokrotnie z przykrością się upewniałem w istnieniu takich poglądów u moich rodaków w Macierzy. Można zrozumieć też, że dla rządzącej koalicji PO – PSL, która zmieniła «przestarzałe» tradycyjne polskie wartości na nowoczesne, jak za łatwe do manipulacji określenie «polski interes narodowy», szkoda tych niezarobionych pieniędzy, które przepadają z uwagi na stagnację relacji ekonomicznych, wywołanych obecną polityką Polski w stosunku do Białorusi. Ale szczerze mi żal, kiedy do tych głosów dołączają Polacy – znani działacze ruchów kresowych w Polsce. Zupelnie niedawno, na portalu «Kresy24.pl» przeczytałem wywiad z Agnieszką Bogucką, była doradcą premiera Jerzego Buzka pt. «Politycy nie dostrzegają Kresowiaków» przytoczę jedną z wypowiedzi pani Boguckiej: «Nie bacząc na interes narodowy, «wkroczyliśmy» z poparciem dla jednego z dwóch Związków Polaków...». Chcę głośno powiedzieć: «Szanowna pani Bo-

gucka, właśnie to, bardzo polskie poczucie solidarności i życzliwości, kocham również mocno, jak swoje polskie knieje!», bo znamy i inne, nieco mniej przyjemne cechy charakteru polskiego. By wyrazić nieco bardziej dyplomatycznie, zdefiniuję to określeniem wymyślonym na własny użytek – «poczucie własnej godności, wypaczonej do granic pychy». Czy warto szukać rozbicia ZPB w 2005 roku i winnych temu po burzliwym VI Zjeździe? Przecież wystarczy przypomnieć nieco historii i słynne «liberum veto», albo jeszcze prościej – włączyć transmisje obrad Sejmu RP (szczególnie tych, które doprowadziły do przedterminowych wyborów parlamentarnych). Skoro jesteśmy tacy sami, to czy warto się obwiniać, czy nie słuszniej szukanie przyczyn i wyciąganie wniosków pozostawić samym działaczom ZPB? Czy jest stosownym zarzucanie Andżelice Borys, że honorowym prezesem «jej» Związku jest pułkownik KGB Tadeusz Gawin, który honorowym prezesem został wybrany wcześniej? Na marginesie mówiąc, co do mnie, to wołę pułkownika Gawina niż towarzysza Łuczniaka. Łatwo jest sądzić, trudniej jest bronić się, a jeszcze trudniej oczyścić się ze skutków niesłusznych oskarżeń. Przecież pani wspomina, jak to jest z «polskim obozem zagłady» w Auschwitz, że nie każdemu Amerykanowi wystarczy motywacji i cierpliwości dochodzić, kto tam kogo naprawdę w tych «polskich» obozach mordował. Krytycy ZPB jakoś często zapominają, w jakich warunkach odbywało się jego tworzenie i praca. I jeszcze mniej krytyków zadaje sobie trudu odpowiedzieć sobie na pytanie – czy jest możliwy taki cud, by za kilkanaście lat dało się uporać się ze skutkami depolonizacji, mającej początki z czasów «Murawowa-wieszatiela». Nie chcąc być posądzonym o stronniczość, muszę zaznaczyć, że osobiście formalnie nigdy nie byłem nawet szeregowym

członkiem ZPB, ale nigdy nie były mnie obce sprawy odrodzenia polskiego, i bardzo wysoko cenię to, co już dało się zrobić i co zawdzięczamy właśnie ZPB. Jak również zasługują na jak największy szacunek i powszechne uznanie ci, kto poświęcił odrodzeniu naszej polskości nie tylko wysiłek i część własnego życia, ale i własne zdrowie.

Wcześniej czy później, ale zmiany na Białorusi są raczej nieuniknione. Całkiem na prawdopodobne wygląda, że obecnie rządzące elity w być może już bliskiej przyszłości będą prowadzić z Zachodem, w tym z Polską rozmowy nie «zakulisowe», lecz poważniejszy dialog. Z pewnością nie zostanie pominięte przy tym i polskie pytanie. Jak i nie ulega wątpliwości, że w Mińsku również dobrze słyszą głosy «reformatorów» nawołujące do zmiany wschodniej polityki Polski, a przy tym i rewizji w stosunku do Związku niepokornych Polaków Andżeliki Borys. Nie można wykluczyć, że korzystając z zapoczątkowanych już podziałów polskiej opinii w tej kwestii, pod hasłami zwaśnionych białoruskich Polaków zafundują nam nowe, tak zwane wybory, do nowego Związku... Tak czy inaczej, ale te podziały strona białoruska wykorzystać potrafi.

W mojej rodzinnej parafii jeszcze młody i bardzo sympatyczny ksiądz proboszcz z Polski na lekcjach katechezy uczy dzieci po białorusku «Ojczy nasz...» i prawie bez akcentu wygłasza kazanie po rosyjsku podczas Mszy świętej. Jakaż to smutna, aż do łez, ironia naszego kresowego losu! Krzyże na grobach naszej polskości, na ziemi Kościuszki, Mickiewicza, Orzeszkowej są stawiane przez polskich i katolickich księży, własnoręcznie wieńczących dzieło rosyjskich carów, bolszewików, esesmanów i kogo tam jeszcze nasza ziemia nie widziała. A czy ostatniego gwoźdźca do trumny nie wbijają politycy polscy?

Skąd terroryści na Białorusi

Foto ByMedia.net

KALUŻA KRWI NA MIEJSCU WYBUCHU

W nocy z 3 na 4 lipca, podczas koncertu z okazji Dnia Niepodległości w Mińsku eksplodował niezidentyfikowany ładunek wybuchowy. Według mediów państwowych, Łukaszenko był niedaleko miejsca wybuchu, jednak on sam jak i wysocy rangą przedstawiciele służb mundurowych zaprzeczają temu, że był to atak na białoruskiego wodza.

Mimo eksplozji, która nastąpiła krótko po północy, koncertu nie przerwano w obawie przed paniką. O tym, co się stało ludzie dowiedzieli się tylko rankiem 4 lipca. Państwowe agencje prasowe podały również informacje o tym, że Łukaszenko znajdował się blisko epicentrum wybuchu. Mimo zagrożenia «w ciągu kilku minut» znalazł się w miejscu eksplozji, żeby na własne oczy ocenić rozmiar tragedii. Obeszło się bez ofiar śmiertelnych, jednak rannych zostało ponad pięćdziesiąt osób, z czego dwudzieścia w trybie natychmiastowym przewieziono do szpi-

tali. Większość poszkodowanych ma obrażenia nóg.

Zadziwiające jest lekceważenie, z jakim prezydent oraz jego otoczenie, zwłaszcza przedstawiciele MSW, potraktowali nocną eksplozję. Mimo iż, jak poinformował minister spraw wewnętrznych Władimir Naumow, jeszcze tej samej nocy niedaleko miejsca eksplozji odnaleziono drugi ładunek wybuchowy, oficjalna wersja, którą na wstępie przyjęli milicjanci, brzmiała – «chuligański wybuch». Odrazu odrzucono wersję o zamachu na Aleksandra Łukaszenkę. Oficjalne media

białoruskie ze wszystkich sił unikały używania w odniesieniu do zdarzenia słów «wybuch» czy eksplozja».

Milicja białoruska wspólnie ze służbami specjalnymi rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę akcję poszukiwawczą. Władimir Naumow oświadczył, że przestępca lub przestępcy zostaną ujęci w najbliższym czasie. Natomiast niektórzy opozycjoniści wyrazili obawy o to, że eksplozja w Mińsku może zostać wykorzystana przeciwko niej. Łukaszenko wyśmiał obawy opozycjonistów. Pierwsze posunięcia wskazywały nawet na to, że wybuch,



EKSPERCI OD MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH BADAJĄ MIEJSCE, W KTÓRYM ODBYŁA SIĘ EKSPLOZJA

który nie spowodował żadnych większych obrażeń dla wszystkich poszkodowanych, jest częścią kampanii po zwalczaniu się nawzajem wrogich klanów w otoczeniu Łukaszenki. Taką, wśród kilku, wersję wydarzeń przedstawił między innymi portal «Bieloruskij Partizan».

Faktycznie, w tydzień po wybuchu Łukaszenko w ostrej formie wypowiedział się o niemocy służb mundurowych w odnalezieniu sprawców wybuchu i zdymisjonował dwóch wysokich rangą urzędników, w tym szefa Rady Bezpieczeństwa Wiktora Szejmana – wiernego współpracownika Łukaszenki, wspierającego białoruskiego wodza od samego początku. Białoruska telewizja państwowa pokazywała groźnego Łukaszenkę, rzucającego gromami na lewo i na prawo, domagając się znalezienia winnych. Mimo, że Łukaszenko śmiał się z

obaw opozycji demokratycznej o to, że to właśnie ona zostanie oskarżona o wybuch, w tydzień po wybuchu KGB w ramach śledztwa zatrzymała cztery osoby. Okazały się nimi działacze opozycji demokratycznej.

Od tego momentu działacze opozycyjni w różnych miastach zaczęli być wzywani na milicję oraz do KGB, gdzie ich przepytывano w związku z wybuchem, u wielu – absolutnie bezprawnie – pobrano odciski palców. Dochodziło do sytuacji absurdalnych. W Grodnie do miejscowego KGB został wzywany Władimir Łarin, działacz Zjednoczonej Partii Obywatelskiej, gdzie został przesłuchany w sprawie wybuchu w Mińsku 4 lipca.

– Na moją uwagę o tym, że nie było mnie na Białorusi całe trzy miesiące i nie mógłbym nawet teoretycznie wziąć udziału w tym akcie, śledczy odparł «Przecież mogłeś zrobić bombę przed swoim

wyjazdem!» – opowiada MAGAZYNOWI Władimir Łarin.

Mimo nieścisłości i zupełnego braku jakichkolwiek dowodów, już w drugiej połowie lipca według szacunków obrońców praw człowieka KGB oraz milicja zatrzymała w związku ze sprawą od 50 do 70 osób, wśród których wielu opozycjonistów. Kierownik służby prasowej MSW Konstantin Szalkiewicz oficjalnie zaprzeczył tym informacjom, nie podał jednak dokładnej liczby, przykrywając się dobrem śledztwa.

W ciągu całego lipca oraz sierpnia trwały działania śledcze, podczas których zostało wezwanych na milicję oraz KGB kilkaset osób w samym Mińsku. Zostali przesłuchani chyba wszyscy przedstawiciele opozycji demokratycznej z całej Białorusi. Mimo opublikowanego rysopisu «świadka koronnego» lipcowej tragedii w Mińsku, człowiek ten do dnia dzisiejszego nie zgłosił się na

milicję, chociaż według zapewnień wysokich rangą funkcjonariuszy milicji właśnie ten świadek posiada informacje, które mogą się okazać kluczowe dla całej sprawy.

Tak naprawdę jedynym wymiernym efektem zakrojonej na szeroką skalę akcji milicji okazało się osadzenie w więzieniu 14 pracowników firmy «Władprodimport» sp. z o.o. Jak wytłumaczył podczas konferencji prasowej tuż po ich zatrzymaniu Władimir Naumow, podstawą dla ich zatrzymania stały się nieprawidłowości w dokumentacji finansowej danej firmy. Firma «Władprodimport» znalazła się w polu widzenia śledczych z powodu tego, że prawdopodobny sprawca wybuchu na miejscu zdarzenia pił sok marki «Sadoczok», wyłącznym importerem którego była właśnie firma «Władprodimport». Był to dość nieoczekiwany, ale jedyny jak na razie wynik śledztwa.

W miarę upływu czasu, media państwowe zupełnie straciły wszelki interes do sprawy. Jedyne, co jeszcze przypomina o wybuchu w Mińsku, jest foto–robot niedoszłego sprawcy eksplozji, który wisi gdzie–nigdzie na witrynach sklepów czy w urzędach

państwowych. Po upływie ponad półtora miesiąca taki «wynik» trudno nazwać zdecydowaną odpowiedzią «zwyrodnialcom», którą w pierwsze dni po eksplozji gniewnie zapowiadał z ekranu telewizora Aleksander Łukaszenko.

Co więc się stało? Czemu od samego początku władze odrzuciły wersje z atakiem terrorystycznym? Według niezależnych rosyjskich ekspertów od balistyki, mówiąc o bombie domowej roboty przedstawiciele MSW nie mówili całej prawdy. Według nieoficjalnych informacji próbka substancji eksplodującej, pobrana na miejscu wybuchu przez ekspertów, okazała się na tyle «czysta», że wykluczyli oni możliwość zrobienia jej w domowych warunkach. Niezależni eksperci również zwrócili uwagę, że mimo dosyć dużej siły wybuchu ciężko ranna została jedna osoba i nie było ofiar śmiertelnych. Bomba zaś była naszpikowana śrubami i nakrętkami, jednak wybuch spowodował u większości ofiar obrażenia kończyn dolnych oraz dołu tułowia. Miałoby to świadczyć o tym, że bomba została specjalnie zrobiona w taki sposób, żeby spowodować jak najmniejsze straty,

na co byłby zdolny jedynie wysokiej klasy fachowiec wojskowy.

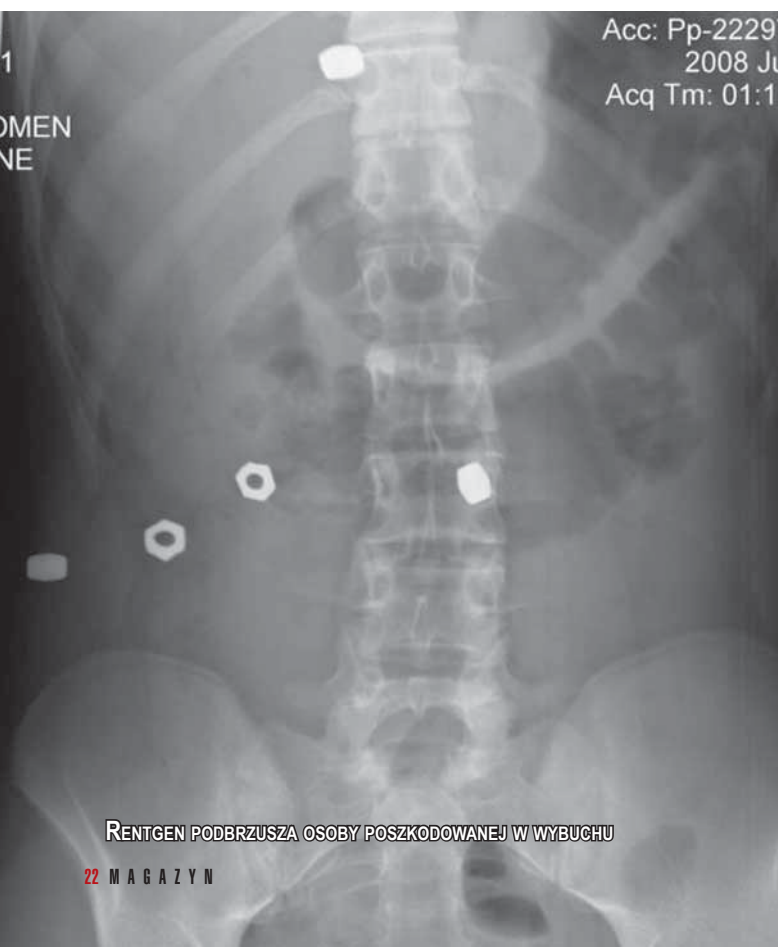
Niezależnie od tego, czy ma rację «Bieloruskiej Partizan», twierdząc, że eksplozja jest tylko zewnętrznym *p r z e j a w e m* międzyklanowej walki w bliskim otoczeniu Łukaszenki, czy liderzy opozycji, którzy uważają, że władze próbują *z a s t r a s z y ć* społeczeństwo przed zbliżającymi się wyborami, tak naprawdę wszyscy

jesteśmy ofiarami tego wybuchu. Nie ważne, w imię czego, ale bomba wybuchła. Ucierpieli ludzie, którzy znaleźli się w epicentrum eksplozji. Ucierpieli również przedstawiciele opozycji demokratycznej oraz prawdopodobnie setki zwykłych ludzi, którzy byli bezprawnie przesłuchiwanymi przez milicję oraz KGB.

Najwięcej jednak ucierpiała władza, chociaż może jak na razie Łukaszenko nie zdaje sobie z tego sprawy. Białoruś jest państwem, która nie prowadzi żadnych wojen. Nie ma tu podstaw do powstania jakichkolwiek konfliktów na tle narodowościowym czy etnicznym. Nie działa na jej terenie żadna organizacja terrorystyczna, wszystkie bojówki para–militarne zostały rozbite przez KGB jeszcze pod koniec lat 90. Dlatego ten, kto podkłada bombę w tłumie niewinnych ludzi, powinien być ujęty już następnego dnia. Tak jednak się nie stało mimo zapewnień Łukaszenki, który, wychodząc na to, okłamał obywateli Białorusi po raz kolejny.

Jeśli władza, mimo licznych deklaracji, nie może obronić swój naród przed takimi, nazwijmy to za mediami państwowymi, «wybrykami chuligańskimi», to taka władza powinna zostać zmieniona na lepszą, taką, która zapewni spokojne życie ogółu mieszkańców, a nie wąskiej uprzywilejowanej grupie najwyższych urzędników państwowych. Jak się okazuje kłamstwa, które sypią na nas z ekranu telewizora, mogą być niebezpieczne, a może nawet i zabójcze. Ciekawe, co wymyśli władza i Łukaszenko, kiedy się okaże, że nie udało się odnaleźć sprawcy wybuchu? Jeśli wierzyć mediom państwowym, to jedynymi terrorystami na Białorusi są prozachodni działacze opozycji demokratycznej. Czyżby to była poprawna odpowiedź? Wszystko wskazuje na to, że poznamy ją już niebawem, przy okazji zbliżających się wyborów parlamentarnych.

JÓZEF BACZYŃSKI



RENTGEN PODBRZUSZA OSOBY POSZKODOWANEJ W WYBUCHU



NA PIERWSZEJ KONFERENCJI PRASOWEJ PO SWOIM UWOLNIENIU ALEKSANDER KAZULIN OŚWIADCZYŁ, ŻE WRACA DO POLITYKI

Nadchodzą zmiany?

Nieoczekiwanie dla wszystkich w drugiej połowie sierpnia został zwolniony z więzienia najbardziej znany białoruski więzień polityczny, były kandydat na prezydenta Aleksander Kazulin. W dniu 20 sierpnia, gdy Aleksander Kazulin miał pierwszą konferencję prasową po swoim wyjściu na wolność, zostali wypuszczeni dwaj ostatni więźniowie polityczni – Andrej Kim i Siergiej Parsiukiewicz.

Uwolnienia wszystkich więźniów na czele z Aleksandrem Kazulinem od wielu lat stanowczo domagała się od władz Białorusi Unia Europejska i USA. Reżim konsekwentnie unikał tematu, albo udając, że żadnego problemu nie ma, albo – ustami wysokich funkcjonariuszy MSW – nazywał Kazulina, a w ślad za nim innych więźniów politycznych «zwykłymi kryminalistami». Teraz jednak ci kryminaliści zostali zwolnieni w ciągu kilku godzin na osobisty rozkaz Łukaszenki, który osobiście podjął decyzję o ulaskawieniu najpierw Kazulina, a

potem Kima i Parsiukiewicza.

Co takiego się stało, że Kazulin, odsiadujący karę pięciu i pół lat więzienia za rzekomo popełnienie zbrodni kryminalnej, został zwolniony tak nagle? Czemu Kim i Parsiukiewicz, uznani za szczególnie niebezpiecznych i osadzeni w więzieniu po protestach przedsiębiorców z początku roku, raptem wyszli na wolność bez jakiegokolwiek wytłumaczenia. Przecież nikt z nich nawet nie składał prośby o ulaskawienie do odpowiedniej komisji przy administracji prezydenta, a mimo to zostali uwolnieni

i to w dodatku osobiście przez Łukaszenkę.

Odpowiedzią, do której skłania się większość ekspertów, jest napiętość na linii Mińsk-Moskwa po wojnie na Kaukazie. Po tym, jak Łukaszenko, uważany przez Rosję za najwierniejszego sojusznika, nie poparł jednoznacznie działań Moskwy na Kaukazie, stosunki między obydwojma państwami zaczęły się ochładzać. O ile do krytyki ze strony UE Łukaszenko jest przyzwyczajony od lat, to gromy, które polecały ze strony Moskwy mogły go zaskoczyć.

– Nie rozumiemy, dlaczego władze Białorusi zachowały pokorne milczenie w sprawie sytuacji w Osetii Południowej – mówił na konferencji prasowej, niedługo po zakończeniu wojny na Kaukazie, ambasador Rosji w Mińsku Aleksander Surikow.

Sytuacja, kiedy Mińsk mógłby się znaleźć między dwoma ogniami, na pewno nie odpowiada Łukaszenko, który od lat balansując między Moskwą a Brukselą potrafił utrzymywać się przy władzy nawet w najtrudniejszych warunkach. Dlatego zapewnienia oficjalnego Mińska po wypuszczeniu więźniów politycznych o tym, że zbliżające się wybory będą demokratyczne i przejrzyste i dlatego władze białoruskie mają nadzieję, że ich wyniki zostaną uznane przez Zachód, nie powinny

Najmniejsza demokratyzacja reżimu doprowadzi do ujawnienia wszystkich ciemnych spraw ze «Szwadronami Śmierci» łącznie

już nikogo dziwić.

Mimo to wielu ekspertów na Zachodzie, po wyraźnych gestach ze strony Łukaszenki, uwierzyło, że jest to przejaw demokratyzowania się reżimu, ewolucji w stronę wartości zachodnich – demokratycznych. Obserwując sytuację z Białorusi, nie można jednak pozbyć się natarczywych myśli, że coś tu nie gra. Przecież doświadczenia Europy i pozostałego świata wskazują na to, że żaden reżim niedemokratyczny nie zmienił się z dnia na dzień. Nieraz do przebudowy państwa potrzebowano kilku lat albo nawet dziesięcioleci. Dlatego wiara w to, że wypuszczenie trzech więźniów politycznych (dla przykładu: na Kubie jest ich kilkuset, w niektórych państwach Afryki nawet kilka tysięcy) i zapowiedź przeprowadzenia wyborów zgodnych z wymogami demokratycznymi, jest obłudna, a nawet szkodliwa.

Łukaszenko zbyt kocha władzę i

plynące z niej korzyści, żeby łatwo z niej zrezygnować. Najmniejsza zaś demokratyzacja reżimu doprowadzi do tego, że wyjdą na jaw wszystkie ciemne sprawy władzy poczynając od zatrważających nieprawidłowości podczas prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych a na «Szwadronach Śmierci» kończąc. Ten, kto wierzy w rzeczywistą chęć demokratyzacji i otwarcia się na zachód oficjalnego Mińska, popełnia błąd. Piękne słowa i gesty ze strony Łukaszenki traktować należy tylko i wyłącznie w kategoriach doraźnego interesu politycznego i ekonomicznego.

Pamiętać trzeba, że zbliżają się jesień oraz zima, które dla białoruskiej gospodarki są najtrudniejszymi okresami do przetrwania.

Jak co roku pojawi się problem ceny na gaz oraz ropę, co jest dla reżimu Łukaszenki sprawą życia i śmierci. Kreml, wyraźnie zmęczony brakiem jakiegokol-

wiek widocznego postępu w stosunkach obustronnych, nie chce już dłużej finansować białoruskiego reżimu i zapowiada, że albo zniesie ulgowe ceny surowców energetycznych, albo rosyjscy oligarchowie dostaną najważniejsze gałęzie białoruskiego przemysłu w ramach tak zwanej «prywatyzacji». Oddanie rosyjskim przedsiębiorcom strategicznych gałęzi przemysłu oznaczałoby dla Łukaszenki rychłą śmierć polityczną. Dlatego na wszelkie sposoby szuka on porozumienia z Zachodem, żeby mieć chociaż jakiś atut w zapowiadających się trudnych rozmowach z Kremlem.

Czy szukanie porozumienia z Zachodem ze strony Łukaszenki oznacza dla społeczeństwa białoruskiego, że nadchodzą zmiany? Niektórzy eksperci twierdzą, że tak. Jednak takie stwierdzenia wydają się być mocno przedwczesne. Łukaszenko kurczowo trzyma się władzy już ponad dekadę, w czym wspiera go

Rosja, ponieważ na tle Aleksandra Łukaszenki nawet Putin, a tym bardziej Miedwiediew, jawią się jako prawdziwi demokraci i liberalowie. Dlatego mówienie o tym, że po wydarzeniach na Kaukazie Łukaszenko banalnie się przestraszył, że Kreml będzie chciał go zmienić, jest domniemaniem, nie mającym uzasadnienia w rzeczywistości.

Bardziej niż inwazji wojsk rosyjskich Łukaszenko boi się oddania ważniejszych gałęzi przemysłowych w ręce rosyjskich oligarchów, którzy są znani z tego, że sami lubią ustanawiać swoje reguły gry na «podbitym» terytorium. W takiej sytuacji podbramkowej jedynym logicznym rozwiązaniem dla Łukaszenki jest próba porozumienia się z Unią Europejską oraz Stanami Zjednoczonymi, żeby poprzez udział kapitału państw Zachodnich zniwelować postępujące wpływy oligarchii rosyjskiej oraz pełznącą aneksję Białorusi.

Nie oznacza to bynajmniej, że «demokratyzacja» reżimu wyjdzie dalej poza deklaracje oraz kurtuazyjne gesty, jak chociażby, ważne, ale, tak naprawdę, nie zmieniające niczego w sytuacji wewnątrz kraju, zwolnienie więźniów politycznych. Łukaszenko nie zależy na demokratyzacji czy otwarciu na Zachód, tylko na utrzymaniu dotychczasowego status quo. Żeby mieć argumenty przetargowe w rozmowach z Kremlem, białoruski władca jest gotów sprzymierzyć się nawet z diabłem, byleby otrzymać wymierny rezultat.

Unia Europejska oraz USA mogą dać Łukaszenko to, czego tak potrzebuje. Podkreślmy raz jeszcze: nie są to wartości demokratyczne tylko wymierne korzyści ekonomiczne. Właśnie w tym celu Łukaszenko wypuścił wszystkich więźniów politycznych. Przecież na Białorusi to on decyduje o losach ludzi. Jeśli po wrześnieowych wyborach okaże się, że nie dostał on czego chciał, można być pewnym, że miejsca, które zwolnili Kazulin, Kim, Parsiukiewicz nie zostaną puste.

Cios uprzedzający

Na terenie Białorusi prawdopodobnie pojawią się rosyjskie kompleksy radarowe «Iskander» albo strategiczne bombowce. Sierpniowe oświadczenie ambasadora Federacji Rosyjskiej na Białorusi Aleksandra Surikowa jest powszechnie odbierane jako odpowiedź Rosji na plany USA ulokowania w Czechach i Polsce elementów tarczy antyrakietowej.



Po podpisaniu umowy między USA a Polską o ulokowanie tarczy antyrakietowej na jej terytorium Rosja nie wyklucza zastosowania podobnych działań. Rosyjskie jednostki wojskowe miałyby z powrotem wrócić na Białoruś, gdzie stacjonowały jeszcze na początku lat 90. minionego stulecia. Rosja i Białoruś są powiązane umową z 1994 roku o wycofaniu z terytorium Białorusi broni jądrowej, gwarantem którego wystąpiły Stany Zjednoczone. Dlatego jak na razie nie ma mowy o wprowadzeniu głowic jądrowych z powrotem na terytorium Białorusi. Gdyby jednak Rosja dalej dążyła do eskalacji napięcia na arenie międzynarodowej i powstania sytuacji takiej jak podczas «Zimnej wojny», to nikt nie będzie w stanie zagwarantować, że Rosjanie po prostu nie zrewidują ustaleń z 1994 r.

Na razie eksperci wojskowi zarówno rosyjscy, jak i białoruscy, uważają za całkiem realne ulokowanie na terenie naszego kraju kompleksów przeciwrakietowych na równi z bombowcami strategicznymi. Tym bardziej, że od lat 90. nic się w zasadzie nie zmieniło: lotnisko Maczuliszcze, które za czasów radzieckich było przystosowane do lądowania bombowców, może je przyjąć w każdej chwili. Oczywiście, ani oficjalny Mińsk, ani Moskwa nie widzą żadnych niezgodności z prawem międzynarodowym w swym, jak na razie cichym, dążeniu do wprowadzenia wojsk Rosji na teren Białorusi.

Nic w tym dziwnego. Politycy rosyjscy od dawna zamykają oczy na dyktatorskie zapędy Łukaszenki i masowe łamanie praw człowieka na Białorusi. Postrzegają Białoruś jako naturalną strefę interesów Rosji. Jednak zestaw środków, których chce użyć Rosja w odpowiedzi na mającą powstać w Polsce i Czechach tarczę, wygląda nieco dziwnie. Na Białorusi oraz w obwodzie kaliningradzkim mają zostać rozlokowane rakiety i ciężkie lotnictwo. Bezsilni wobec amerykańskich *know how* wschodni sąsiedzi Białorusi używają metod znanych z czasów ZSRR. Całe to napinanie mięśni

ma wyrzucić wrażenie przede wszystkim na zwykłych obywatelach Polski i Czech, którym prawdopodobnie początek kolejnej «Zimnej wojny» wcale nie przypadnie do gustu. Bo przecież USA i tak nie zmieniają swojej decyzji o budowie tarczy antyrakietowej.

Co do obywateli Białorusi, to ich nikt nie będzie nawet pytać, co oni sądzą o lokalizacja rosyjskich kompleksów rakietowych i bombowców na terenie ich państwa. Jak nikt nie pytał o zdanie na temat sensowności budowy stacji atomowej. Niektórzy niezależni eksperci nie wykluczają możliwości, że stacja ta zostanie wybudowana na terenie Zachodniej Białorusi, a bezpośrednio przy niej zostaną ulokowane rakiety. Miejsca dla ich rozlokowania są zakonserwowane jeszcze z czasów radzieckich. Najważniejsze pytanie brzmi – jakie głowice zostaną zainstalowane na rosyjskich raketach?

Kartą przetargową w stosunkach między Rosją a Białorusią pozostaje gaz, ceny na który są głównym tematem podczas wszystkich rozmów na najwyższym szczeblu. Uzależnienie Aleksandra Łukaszenki od Rosji jest na tyle ogromne, że nie ma on żadnego pola dla manewru. Dlatego tak naprawdę to nie on, tylko Kreml zadecyduje, czy Białoruś stanie się jednym z podmiotów w zapowiadającej się «Zimnej wojnie. Część 2».

Konkretnych działań w kierunku ulokowania ciężkich zbrojeń rosyjskich na terenie Białorusi należy oczekiwać po rozmieszczeniu pierwszych elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej na terenie Polski. Na razie obie strony «badają teren», jak bokserzy wagi ciężkiej, którzy nanosząc słabe ciosy próbują wyczuć czule punkty przeciwnika, by nagłym uderzeniem wysłać go w nokaut. Wycucie tutaj ma największe znaczenie. Wygra ten, kto zada odpowiednio ciężki cios w odpowiednim momencie starcia. Trzeba jedynie uważać, żeby nie był to cios poniżej pasa, bo wtedy zawodnika czeka nie sława i gloria zwycięzcy, a haniebna dyskwalifikacja.

SACRUM



Ахвяра
на
касьн

Łukaszenko zaprasza Papieża

Zaproszenie Ojca Świętego na Białoruś oraz zapewnienie o gotowości zawarcia przez władze tego kraju porozumienia z Kościołem, to efekt spotkania kard. Tarcisio Bertonego z prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką.

Białoruska podróż sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej kard. Bertonego trwała trzy dni. Pod koniec czerwca odwiedził on stołeczny Mińsk, Grodno oraz Pińsk, spotykając się z miejscowymi katolikami obu obrządków, a także ze zwierzchnikiem Cerkwi prawosławnej, metropolitą Filaretem. Wygłosił też wykład na mińskim uniwersytecie poświęcony racjonalności wiary.

Ważnym elementem wizyty były spotkania z przedstawicielami władz państwowych, w tym z ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Martynowem oraz przewodniczącym komitetu ds. wyznań i mniejszości etnicznych przy Radzie Ministrów Leonidem Gulaką. Uwieńczeniem tych spotkań była rozmowa z prezydentem Łukaszenką. Przedstawiciele rządu zapewniali, że działalność organizacji religijnych na Białorusi jest prawnie uregulowana, bez wtrącania się czy kontrolowania ze strony władz. Sam Aleksander Łukaszenko podkreślał, że jego kraj szczyli się pokojem panującym wśród wyznań religijnych i grup etnicznych oraz że jest otwarty na dialog z religiami, w tym z Kościołem katolickim. Zapewnił watykańskiego sekretarza stanu, że białoruski rząd zajmie się prośbą w sprawie przyznania terenu pod nową nuncjaturę i inne budowle kościelne. Ze swej strony kard.

Bertone wyraził gotowość Stolicy Apostolskiej, aby przyczynić się do normalizacji stosunków Białorusi z krajami zachodnimi.

Gdy chodzi o ewentualną wizytę Benedykta XVI, to prezydent Łukaszenko stwierdził, iż mogłoby do niej dojść «w terminie, jaki Papież uzna za dogodny». Przedstawiciele miejscowych władz kościelnych byli w tej kwestii ostrożni. «Ojca Świętego na pewno kiedyś zobaczymy – stwierdził metropolita mińsko-mohylewski abp Tadeusz Kondrusiewicz – ale wówczas, gdy Bóg powie».

Oficjalna wizyta kard. Tarcisio

Bertonego na Białorusi zakończyła się 22 czerwca. W kilka dni po powrocie kard. Bertonego do Rzymu białoruska państwowa agencja prasowa rozpowszechniła informacje o tym, że papież Benedykt XVI z entuzjazmem przyjął zaproszenie Aleksandra Łukaszenki i odwiedzi Białoruś już w najbliższym czasie. Stolica Apostolska jednak zdementowała te doniesienia, podkreślając, że Papież jest bardzo zajęty i zaplanowanie tak ważnego wyjazdu w tak krótkim czasie byłoby po prostu niemożliwe.

WIKTORIA KOZŁOWSKA



LEONID GULAKO ORAZ KARD. TARCISIO BERTONE

Ruszaj tam, gdzie Ziemię Obiecaną daje ci Pan...

Śpiewając tę piosenkę, 30 czerwca 350 młodych ludzi wyruszyło w dziesiątą – jubileuszową – pielgrzymkę Grodno – Trokiele. W tym roku hasłem przewodnim pielgrzymki było «Maryja – gwiazda nadziei».

Po uroczystej Mszy św. w Katedrze grodzieńskiej, której przewodniczył ks. proboszcz Jan Kuczyński, młodzież wyruszyła ulicami miasta, głośno śpiewając piosenki religijne i modląc się. Wśród młodych ludzi panowało wielkie wzruszenie, wszyscy cieszyli się, że stanowią część wspólnoty pielgrzymów. Niektórzy przechodnie ze zdziwieniem patrzyli na młodych ludzi, którzy nie bali się otwarcie wyznawać, że kochają Chrystusa. Niektórzy zaś podchodzili do pielgrzymów z prośbami, aby zanieśli ich intencje do stóp Matki Bożej Trokielskiej.

Cała trasa pielgrzymki to kilkanaście kilometrów, pokonanie jej zajęło młodzieży pięć dni. Każdy nowy dzień rozpoczynał się Mszą Św. Proboszczowie przyjmujących na nocleg parafii wygłaszali Słowo Boże, mówiąc o trudnościach drogi, ale zarazem i radości kroczenia z Chrystusem do Jego Matki. Wyruszając rano każdego dnia młodzież rozpoczynała nowy dzień pielgrzymki Godzinami do Najświętszej Maryi Panny, później był śpiew i modlitwa. W południe miała miejsce konferencja, a później długa rozmowa, podczas której wszyscy dzielili się własnymi



POMYŚLEĆ TYLKO, NIEKTÓRZY MÓWIĄ, ŻE DZISIEJSZE POKOLENIE MŁODYCH MA ZATWARDZIAŁE SERCA!



doświadczeniami oraz refleksjami. Warto zaznaczyć, że codziennie inny ksiądz wygłaszał konferencję.

Młodzież długo dyskutowała na aktualne tematy. Ks. Walery Bykowski, który przewodniczył konferencji dotyczącej wstydlwego tematu aborcji i zabijania nienarodzonych dzieci zachęcał młodych ludzi do duchowej adopcji nienarodzonych. Ten problem bardzo poruszył młodych pielgrzymów, którzy po zakończeniu konferencji jeszcze długo nie mogli zostawić tego tematu, nawet podczas odpoczynku.

Po obiedzie zawsze był różaniec i koronka do Miłosierdzia Bożego, a także znowu śpiew i zabawa, której zawsze przewodniczyli diakoni Aleksander i Andrzej. Każdy dzień pielgrzymki wieńczył wspólny Apel w kościele lub na boisku, jak to było np. w Ostrynie. Mniej więcej tak wyglądał każdy dzień pielgrzymy, a do tego, oczywiście, kilkadziesiąt kilometrów na piechotę pod upalnym słońcem.

Decydującym dniem pielgrzymki był dzień czwarty. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, a do pokonania został najdłuższy odcinek drogi. Podczas odmawiania różańca okazało się, że wielu młodych pielgrzymów prosiło u Matki Najświętszej właśnie o siły w tej trudnej drodze. Kilka kilometrów przed Pohorodnem, gdzie czekał nocleg, wszystkich przywitał ksiądz biskup Aleksander Kaszkiewicz. Jego Ekscelencja pobłogosławił pielgrzymom i przypomniał, jak ważne dla życia Kościoła na Białorusi jest takie właśnie świadectwo, taka właśnie forma ukazywania przynależności do Chrystusa. Słowa księdza biskupa dodały wszystkim sił.

Zauważywszy w oddali kościół w Pohorodnie, młodzież zaczęła myśleć o długooczekiwanym wypoczynku. Jednak w miasteczku na wszystkich czekała niespodzianka – koncert zespołu «AVE». Niektórzy

z uczestników pielgrzymki bali się, czy zdołają dojść do miejsca, gdzie miał odbyć się koncert. Okazało się, że wszyscy nie tylko doszli do miejsca koncertu, ale także świetnie się bawili, nie zważając na zmęczenie. Koncert był połączony z prezentacją nowej płyty zespołu. Ciekawa przygoda połączona z refleksją nad tekstami piosenek stała się wspaniałym zakończeniem trudnego dnia.

Nadszedł ostatni dzień pielgrzymki. Na Wzgórzu Przebaczenia, które znajduje się niespełna 3 kilometry przed Trokielami wszyscy prosili przebaczenia u siebie nawzajem. Było sporo łez wzruszenia w oczach młodych ludzi – pomyśleć tylko, niektórzy mówią, że dzisiejsze pokolenie młodych ma zatwardziałe serca!

Dopiero wieczorem młodzi pielgrzymi przekroczyli próg diecezjalnego Sanktuarium Matki Bożej Trokielskiej. Nie wiadomo skąd młodzież, po kilku dniach męczącej drogi, odnalazła w sobie siły nie iść, a wręcz bieć do stóp ukochanej Matki. Po przekroczeniu progu Sanktuarium i spotkaniu się z ukochaną Matką twarzą w twarz każdy przeżywał ten monet na swój sposób. Nie można opisać słowami tego stanu duszy, kiedy po kilku dniach drogi pielgrzym w końcu osiąga cel i w jego głowie zadamawia się myśl, że dał on rady, wytrwał, doszedł. Skrucha, a zarazem radość i wdzięczność przepelniały wszystkich młodych uczestników pielgrzymki. Te kilka dni spędzone razem, jak jedna wspólnota, w skupieniu, ale i w radosnym odpoczynku na pewno są wspaniałą szkołą życia dla młodych i na pewno wielu z nich podczas takiej pielgrzymki bardziej głęboko, na własnym przykładzie zrozumiało sens słów Chrystusa, który woła do nas wszystkich: « Ruszaj, ruszaj, ruszaj tam, gdzie Ziemię Obiecaną daje ci Pan...»

Milcząca schizma

Niewiele spraw wprowadziło do Kościoła tak znaczące podziały jak papieskie nauczanie na temat antykoncepcji z opublikowanej 40 lat temu encykliki «Humanae vitae». Choć minęły czasy, kiedy duchowni rezygnowali z kapłaństwa na znak sprzeciwu, a pod rezydencjami biskupów protestowali świeccy – spokój jest mylący.

Nawet jeśli wokół antykoncepcji nie toczą się debaty z udziałem szerokich rzesz wiernych (emocje ujawniają się co najwyżej w polemikach między teologami i hierarchami), problem – zwłaszcza duszpasterski – nie znika. Po prostu: większość przeciętnych katolików Zachodu dokonuje własnych wyborów, nie przejmując się oficjalnym stanowiskiem Kościoła.

Kościół i pigułka

Temat antykoncepcji nie pojawił się bynajmniej w XX w.: Kościół mierzył się z nim od początku istnienia, co widać chociażby w Liście do Galatów (5, 20), gdzie św. Paweł piętnuje używanie narkotyków o skutkach aborcyjnych (gr. pharmakeia; w polskim tłumaczeniu brak tego sformułowania). Antykoncepcję teologowie potępiali także w IV w., ale problemy z nią związane nie wywoływały poważnych kontrowersji aż do końca XIX w., kiedy zaczęto kwestionować tradycyjne rozumienie małżeństwa i na szerszą skalę stosować praktyki regulacji poczęć.

Przekonanie, że pierwszym celem małżeństwa jest splodzenie i



Z TEMATEM ANTYKONCEPCJI KOŚCIÓŁ MIERZYŁ SIĘ Z OD POCZĄTKU ISTNIENIA

wychowanie potomstwa, drugim zaś wzajemna pomoc i przeciwdziałanie pożądliwości (kan. 1013 KPK z 1917 r.), poddano krytyce już w latach 20. minionego stulecia. W reakcji na te «nowe trendy» pojawiły się głosy hierarchów potępiające praktyki regulacji poczęć. Wiernym przypomniano, że świadome próby wykluczenia potomstwa są grzechem śmiertelnym, a małżeństwo, w którym od początku rezygnowano z posiadania dzieci, jest nieważne. W związku z postanowieniem biskupów Kościoła anglikańskiego, którzy w

1930 r. wstępnie zaaprobowali niektóre metody antykoncepcji, głos zabral Pius XI, w encyklice «Casti connubi», potępiając stosowanie jakichkolwiek jej form.

Problem przybrał na znaczeniu w latach 50., kiedy Amerykanin John Rock wynalazł pigułkę antykoncepcyjną. Rock był katolikiem, do końca swoich dni (zmarł w 1984 r.) przekonany, że oddał ludzkości chrześcijańską przysługę. Chociaż papież Pius XII w 1951 r. zaaprobował tzw. metodę naturalną, to jednak zastosowanie pigułki

modyfikującej cykl hormonalny i eliminującej możliwość zapłodnienia na samym początku, bez skutków aborcyjnych, wydawało się lepszym rozwiązaniem.

Pod koniec lat 60. wielu małżonków zaczęło kwestionować kompetencje duchownych w zrozumieniu złożoności pożycia małżeńskiego, a jeszcze bardziej zdecydowania czy moralnego wyrokowania w tej sprawie za nich. M.in. dlatego Jan XXIII, który w 1961 r. przypomniał w encyklice «Mater et Magistra» tradycyjne nauczanie w sprawie antykoncepcji, dwa lata później powołał międzynarodową komisję, której zadaniem było przeanalizowanie słuszności zakazu stosowania antykoncepcji.

Spory ojców soborowych

W trakcie Vaticanum II do kwestii małżeństwa i rodziny powrócono w pracach nad Konstytucją duszpasterską «Gaudium et spes» i dokonano w niej zmiany dotychczasowej nauki o hierarchizacji celów małżeństwa. Konstytucja za podstawową i centralną wartość tego sakramentu uznała miłość, która «wiążąc z sobą czynniki boskie i ludzkie, prowadzi małżonków do dobrowolnego wzajemnego oddawania się sobie, które wyraża się w czułych uczuciach i aktach oraz przenika całe ich życie» (n. 49). Od tego momentu nie można już twierdzić, że małżeństwo zostało stworzone przez Boga jedynie dla prokreacji bądź ustrzeżenia się przed pożądliwością (por. n. 50). Małżeństwo nabrało blasku.

Problem antykoncepcji nie był przedmiotem obrad. Świadczy o tym przypis 14 do Konstytucji, który mówi, że pytania o moralny status pewnych technik antykoncepcji zostały przez papieża Pawła VI (decyzją z 23 czerwca 1964 r.) zarezerwowane dla prac specjalnej komisji. Ale, jak można wywnioskować z numerów 50 i 51 «Gaudium et spes»,

nie sposób było ich pominąć milczeniem. Rozdział «GS» poświęcony małżeństwu został przegłosowany 16 listopada 1965 r.

W głosowaniu brało udział 1569 ojców Soboru, z których 556 zgłaszało jeszcze uwagi pod adresem tekstu. Symptomatyczna dla zrozumienia tego, o co się wtedy spierało, była postawa kard. Alfredo Ottaviano. Prefekt Świętego Oficjum uważał, że podkreślanie miłości w małżeństwie i oddawanie sumieniu małżonków decyzji o tym, ile mogą mieć dzieci, to czysty sentymentalizm i fascynacja «doświadczeniem», będąca pokłosiem modernizmu. Za wzór odpowiedzialnego rodzicielstwa wskazał własną rodzinę. Był jednocześnie z dwanaściorga rodzeństwa i uważał swego ojca za wzór człowieka ufającego Opatrzności.

Duch Święty zadziałał jednak z innej strony: w tej samej Konstytucji ojcowie Soboru po raz pierwszy w historii Kościoła zdecydowanie dowartościli powołanie świeckich, ich godność oraz odpowiedzialność za Kościół. Korzystanie «z doświadczenia świeckich» (*laicorum experientia*) miało być odtąd zwyczajową praktyką biskupów i duchownych, i to bynajmniej nie ograniczoną do tego, jak prowadzić parafię bądź budować kościół.

Komisja i encyklika

W 1967 r. komisja powołana przez Pawła VI opowiedziała się za zmianą tradycyjnego stanowiska Kościoła (64 członków było za, 4 przeciw). Mówiono o «odpowiedzialnym rodzicielstwie» i «osobistej odpowiedzialności każdej jednostki», ostrzegano natomiast przed «określonymi normami moralnymi posuniętymi do skrajności». Komisja podtrzymała tradycyjną zasadę, w myśl której «miłość małżeńska i płodność nie są w żadnej mierze sprzeczne, ale uzupełniają się wzajemnie», zaznaczyła jednak, że

tworzą one «prawie nierozdzielną całość».

Prawie nierozdzielną – gdyż członkowie komisji uznali, że pary same muszą decydować, ile dzieci będą w stanie wychować i zabezpieczyć w sensie emocjonalnym i materialnym. W raporcie powoływano się również na inne ważne czynniki, takie jak «przemiany społeczne dotyczące małżeństwa i rodziny, a zwłaszcza roli kobiety; obniżenie wskaźnika śmiertelności niemowląt; zmianę oceny wartości i znaczenia seksualności ludzkiej oraz nowe odkrycia w dziedzinie biologii, psychologii, seksuologii i demografii».

W sumie autorzy dokumentu opowiedzieli się za oddzieleniem seksu od prokreacji przy poszczególnych stosunkach, zgodnie z oceną i sumieniem małżonków, podtrzymując prokreację jako ogólną zasadę. Zdecydowanie potępił natomiast aborcję i sterylizację.

Dla Papieża był to cios: mając świadomość, że wiele osób myśli odmiennie, podjął decyzję sam. W encyklice «*Humanae vitae*» stwierdził, że «każdy akt małżeński powinien być otwarty na przekazanie życia» (n. 11) ze względu na nierozdzielne połączenie wymiaru jedności i wymiaru prokreacji, z jakimi mamy do czynienia w każdym akcie seksualnym» (por. n. 12).

I rozpetęła się burza. Protestowali duchowni i świeccy, teologowie ślali petycje do Rzymu. Paweł VI podobno płakał, kiedy mówiono mu o gniewnej reakcji na encyklikę. Doradcom wyznał: «Chciałem przecież przekazać przesłanie Ewangelii».

Decyzja Papieża była gorzkim rozczarowaniem nie tylko dla członków komisji – również większa część ojców soborowych była zbита z tropu. Jeden z najbardziej wpływowych kardynałów, Leo Suenens, zwrócił Pawłowi VI uwagę, że encyklika miałaby znacznie większy autorytet, gdyby była wynikiem prac Soboru. Po raz pier-

wszy w czasach nowożytnych inne stanowisko niż Watykan zajęły też niektóre episkopaty – w trzynastu krajach wykazały one skłonność do łagodzenia wymowy papieskiej encykliki.

W 1980 r. na Synodzie Biskupów w Rzymie abp John R. Quinn z San Francisco zasugerował, że Kościół powinien jeszcze raz przemyśleć swojenauczanie tematu absolutnego zakazu antykoncepcji w małżeństwie, podkreślając równocześnie, że sam zawsze wspierał odpowiedzialne partnerstwo. Amerykański hierarcha sugerował również zaproszenie teologów do dyskusji na temat różnicy zdań, jaka wynikła z nauczania zawartego w «*Humanae vitae*», i przeanalizowanie sposobu pisania encyklik.

W 1989 r. kilkuset europejskich teologów, wśród nich osoby znane dotąd z lojalności wobec Rzymu, zaapelowało o zmianę zasad zawartych w encyklice Pawła VI. Watykan, np. w encyklikach Jana Pawła II, konsekwentnie odpowiadał «nie». Streszczeniem jego stanowiska jest Katechizm, w którym Papież, powołując się na «*Humanae vitae*» i «*Casti connubi*» (n. 2366), potwierdza tradycyjne stanowisko Kościoła, określając każdą formę regulacji poczęć inną niż «naturalną» jako «wewnętrznie złą» (n. 2370).

Czy Papież się pomylił

Większość katolików z pewnością podpisałaby się pod następującymi stwierdzeniami: (1) współzycie seksualne jest właściwe dla małżonków; (2) akt seksualny ma jednoczący i prokreacyjny wymiar; (3) sensem prokreacji jest nie tylko powołanie nowego życia, ale zapewnienie mu warunków rozwoju; (4) bezpośrednie działanie przeciwko wpisanemu w akt seksualny celowi jest moralnie złe. Tak brzmi stanowisko Kościoła.

Różnica między obrońcami «*Humanae vitae*» a zwolennikami re-

wizji dotychczasowego nauczania dotyczy następnego założenia: (5) tylko całościowy, a nie częściowy sens aktu seksualnego jest moralnie normatywny. Tutaj dochodzimy do meritum sporu między obrońcami «*Humanae vitae*» a tymi, którzy domagają się rewizji jej założeń. Na poziomie systemów etycznych jest to spór między zwolennikami etyki prawa naturalnego (np. Germain Grisez) a zwolennikami proporcjonalizmu w teologii moralnej (np. Peter Knauer, Louis Janssens, Bruno Schüller i Richard McCormick, choć różnią się między sobą w kwestiach szczegółowych). Ci ostatni na poziomie debaty nad tekstem encykliki bronią tezy, że można wskazać moralnie istotną różnicę pomiędzy dwoma działaniami mającymi tę samą intencję, a więc inaczej trzeba oceniać antykoncepcję, a inaczej metody naturalne, które w świetle prawa naturalnego są jedynie usprawiedliwione, bo chronią dobro przedmiotowe aktu seksualnego.

Papież Jan Paweł II w encyklice «*Veritatis splendor*» (1993 r.) potwierdził, że «normy negatywne prawa naturalnego mają moc uniwersalną: obowiązują wszystkich i każdego, zawsze i w każdej okoliczności»

(n. 52). Z kolei proporcjoniści uważają, że nie istnieją «akty wewnętrznie złe», które takimi są same z siebie, niezależnie od okoliczności i intencji tego, kto się ich dopuszcza. Skoro tak, to zastosowanie antykoncepcji nie jest grzechem, jeśli intencją małżonków jest ochrona jednoczącego dobra aktu seksualnego kosztem prokreacyjnego, gdy z ich punktu widzenia ma on większe znaczenie dla ich małżeństwa.

Ponieważ większość teologów uważa, że papieskie nauczanie na temat antykoncepcji nie jest nieomyślne (w trakcie ogłaszania «*Humanae vitae*» Watykan potwierdził, że treści zawarte w encyklikach stanowią autorytatywne, choć

niekoniecznie nieomyślne nauczanie Magisterium), debata trwa. Dominujące stanowisko głosi, że jednoczący i prokreacyjny wymiar seksualności powinien zostać zachowany jako zasada podstawowa, niekoniecznie jednak w przypadku każdego aktu seksualnego.

Co mówią statystyki

W trakcie wspomnianego Synodu Biskupów abp Quinn przytoczył wyniki badań, które wskazywały, że 76,5 proc. katolickich kobiet w Ameryce stosuje jakieś metody regulacji poczęć, a 94 proc. z nich – środki potępione przez Pawła VI. Badania amerykańskie z lat 90. pokazują, że tylko 12 proc. wszystkich katolików akceptuje nauczanie Kościoła na temat antykoncepcji, a wśród chodzących regularnie do kościoła – jedynie 20 proc. Większość katolików na Zachodzie nie zgadza się z tezą, że każdy rodzaj antykoncepcji w małżeństwie, bez względu na motywację bądź okoliczności, jest wewnętrznie zły i że uprawnione jest moralne zrównanie wszystkich metod antykoncepcji z aborcją. To, że znaczna większość z nich stosuje jakieś środki antykoncepcyjne, wynika również z danych demograficznych: katolicy w krajach Zachodu nie posiadają znacząco więcej dzieci niż niekatolicy. Wydaje się mało prawdopodobne, aby działo się tak w wyniku stosowania naturalnych metod kontroli urodzeń. Podobnie jest w Polsce.

Statystyki nie są źródłem sądów etycznych, ale mówią coś o ludziach i ich problemach. Bardzo wielu katolików samodzielnie decyduje o swoim życiu seksualnym, a kolejne badania opinii publicznej w krajach rozwiniętych potwierdzają, że ta tendencja utrzymuje się od 40 lat i nic nie wskazuje na to, by uległa zmianie.

Taka sytuacja ma oczywiście duszpasterskie konsekwencje. Wielu katolików z powodu stanowiska

Watykanu albo nie przystępuje do spowiedzi, albo rozstrzyga sprawę w sumieniu i o niej milczy. W niełatwej sytuacji są sami spowiednicy, którzy chcą być blisko ludzi, ale w konfesjonale pełnią posługę w imieniu Kościoła. Często mają rozdarte sumienie, bo kościelna retoryka o stosowaniu antykoncepcji w małżeństwie jest całkowicie negatywna.

Wyniki badań socjologicznych pokazują także, że Europa nie jest

czyjeś postępowanie, to dzieje się tak nie z powodu braku moralności, lecz dlatego, że ludzie mają często zbyt małe pole działania.

Trudności związane z przyjęciem moralnego nauczania Kościoła mają źródło nie tyle w zajmowanych stanowiskach teologicznych, ile przede wszystkim w założeniu, że ludzie są notorycznie niemoralni i że w sprawach moralności zawsze idą po linii najmniejszego oporu.

w San Francisco w 1987 r. wybitny teolog Hans Urs von Balthasar stwierdził, że tylko katolicy mają szansę zrozumienia nauczania papieskiego, a udaje się to być może jedynie znacznej ich mniejszości, która praktykuje ascetyzm pozwalający na stosowanie «naturalnych metod».

Oznaczałoby to jednak, że tylko małżeństwa, które wcielają w życie te zasady, są prawdziwie katolickie. Inni, pomimo miłości do Boga i bliźniego, uczęszczania na Mszę, katolickiej edukacji dzieci itp. są albo tak ciężkimi grzesznikami, że nie powinni przystępować do komunii, albo są tak zmanipulowani przez współczesną kulturę i jej wyobrażenia na temat miłości i seksualności, że nie są w stanie wczuć się w ducha autentycznego katolickiego nauczania o małżeństwie – żyją więc w nieprzewidywalnej ignorancji. Czy jednak o tej, niemalej w końcu grupie małżeństw można mówić jak o katolikach drugiej kategorii? Jeśli nie przypiszemy im złej woli czy braku zdolności do refleksji nad własnym postępowaniem, bo argumenty z prawa naturalnego nie potrzebują wiary do uzasadnienia ich słuszności, to wygląda na to, że w Kościele mamy do czynienia z «milczącą schizmą». A jeśli tak wygląda recepcja «*Humanae vitae*», to czy nie jest to znak dla Kościoła rozumianego jako cały Lud Boży, że «doświadczenie» większości świeckich (*laicorum experientia*) powinno być uznane za oznakę rozwoju doktryny o antykoncepcji? Tylko cały Kościół zachowany w jedności wiary jest uchroniony od błędu (por. «*Lumen gentium*», n. 25).

Czterdzieści lat po ukazaniu się «*Humanae vitae*» wciąż trzeba zadawać to pytanie. Założenie, że Bóg nie przykazuje niczego, co byłoby niemożliwe, nie wyklucza bowiem stosowania rozumu. Wiara wbrew rozsądkowi nie należy do depozytu katolickiego nauczania, więc musi istnieć jakieś wyjście z obecnego impasu.

KS. JACEK PRUSAK SJ,
TYGODNIK Powszechny



KATOLICY NA ZACHODZIE NIE ZGADZAJĄ SIĘ Z TEZĄ, ŻE ANTYKONCEPCJA W MAŁŻEŃSTWIE JEST ZŁEM

amoralna. Przeciętnie 26 proc. mieszkańców Starego Kontynentu opowiedziało się za postępowaniem według jasno określonych norm, a 57 proc. – za postępowaniem zależnym od sytuacji (17 proc. wybrało opcję: «żadna z podanych możliwości»). Na pierwszy rzut oka wydaje się więc, że dominuje wśród nich etyka sytuacyjna. Jednak uzależnienie postępowania od sytuacji nie oznacza końca wszystkich norm obowiązujących poza tą sytuacją.

Okazuje się, że w naszych czasach postępowanie moralne wielu ludzi polega na tym, żeby kierując się akceptowaną w dużej mierze idealną normą moralną, zachować się odpowiedzialnie w konkretnych sytuacjach życiowych. A jeśli ta norma w konkretnej sytuacji życiowej «gubi pióra» i jedynie częściowo określa

W grę wchodzi rozum

Używanie retoryki o «hedonistycznym społeczeństwie», którego członkowie nie robią nic innego poza «bezproduktywnym» współżyciem, nie bierze pod uwagę doświadczenia poszczególnych par i jest bardzo raniące. W Kościele rozpowszechnił się jednak mit o «rozwiązłych», bo bezdzietnych małżeństwach. Jeśli nawet uda się go podważyć, pozostaje pytanie kluczowe: czy przyjęcie «*Humanae vitae*» związane jest z konieczności z łaską, skoro na poziomie racjonalnej refleksji i życiowego doświadczenia budzi wśród wiernych tyle oporu?

Katolickim małżonkom nie brak inteligencji, a jednak argumenty z prawa naturalnego do nich nie przemawiają. W trakcie sympozjum



Dziennikarzom WSTĘP WZBRONIONY

Na początku sierpnia Aleksander Łukaszenko podpisał kontrowersyjną ustawę o mediach, przeciwko której już od dłuższego czasu protestowało Białoruskie Zrzeszenie Dziennikarzy. Ustawa, która ma wejść w życie za pół roku, przez niezależnych ekspertów od środków masowego przekazu jest nazywana «kagańcową». Pesymiści wieszczą definitywny koniec dziennikarstwa niezależnego na Białorusi.

Ustawa, projekt której był rozpatrywany w białoruskim parlamencie już od dłuższego czasu, została przyjęta przez deputowanych w tempie ekspresowym pod koniec czerwca br., jak wiadomo ze źródeł nieoficjalnych, takie rozporządzenie nadeszło z Administracji Prezydenta. Według władz, poprzednia ustawa o mediach z końca lat 90. nie odpowiadała szybko zmieniającym się warunkom codziennego życia na Białorusi. Nowa ustawa miałaby to zmienić. Oczywiście na lepsze. Jednak niezależni eksperci są odmiennego zdania. Według nich nowa ustawa o mediach ma na celu ostatecznie zdławić wszelkie przejawy niezależnego dziennikarstwa na Białorusi.

Po ofensywie władz sprzed kilku lat, na białoruskim rynku mediów niezależnych, przede wszystkim tych, o profilu społeczno-politycznym,

panuje prawdziwa ruina. Na Białorusi nie ma żadnej niezależnej stacji radiowej czy telewizyjnej. Gazety, próbujące pisać prawdę o sytuacji na Białorusi są zmarginalizowane: nie można ich kupić w kiosku z prasą, nie można zaprenumerować w państwowym monopolistycznym molochu «Bielposzta». W takiej sytuacji Internet, który od kilku lat przeżywa na Białorusi prawdziwy rozkwit, stał się dla większości obywateli, pragnących świeżej, niezależnej informacji o sytuacji w swoim kraju, jedynym źródłem rzetelnej i prawdziwej informacji. Po wejściu w życie nowej ustawy ma się to zmienić.

Ustawa, która zyska moc prawną z dniem 8 lutego 2009 r., wprowadza obowiązkową rejestrację wszystkich białoruskich mediów internetowych. Do tej pory jedynym obowiązkiem była rejestracja domeny w strefie BY.

Scenariusz, który próbują rozegrać władze jest oczywisty. Po zarejestrowaniu w Ministerstwie Informatyki strona internetowa zostaje uznana za środek masowego przekazu, a co za tym idzie, podpadać będzie pod te same artykuły z Kodeksu Karnego, z tytułu których niejednokrotnie karę poniosło już wielu niezależnych dziennikarzy białoruskich.

Nowa ustawa o mediach wprowadza również zakaz pracy dla zagranicznych mediów bez specjalnego zezwolenia MSZ i rozpowszechniania informacji, które mogą zaszkodzić interesom państwowym lub społecznym, albo będą naruszały przepisy Kodeksu Karnego. Ciekawym momentem jest, że w myśl nowej ustawy decyzję o zamknięciu gazety czy strony internetowej będzie podejmować nie sąd, tylko Ministerstwo Informatyki Białorusi. Ten zapis ustawy spotkał się ze zrozumiałym sprzeciwem przedstawicieli niezależnych mediów.

– Nowa ustawa znacząco utrudni życie tym przedstawicielom niezależnych mediów, którzy mimo trudnych warunków próbują pracować legalnie, tzn. z akredytacją czy w oficjalnie zarejestrowanych gazetach. Nowa ustawa daje władzom bardzo szeroki wachlarz możliwości do zamknięcia gazety czy wycofania akredytacji dziennikarzowi – mówi **MAGAZYNOWI** Andrej Bastuniec, wiceprzewodniczący i prawnik Białoruskiego Zrzeszenia Dziennikarzy.

Przedstawiciele Ministerstwa Informatyki na wszelkie sposoby próbują uspokoić nastroje społeczne, tłumacząc wprowadzenie nowej ustawy troską o dobro obywateli. Nawet kierownik działu ideologii administracji prezydenta Wsiewołod Janczewskij zabrał głos w sprawie i uspokajał, że nikt nie zamierza wprowadzać kontrolę nad Internetem na wzór chiński. Większość niezależnych ekspertów jest jednak bardziej krytyczna w swoich ocenach. Panuje powszechne przekonanie, że jedynym obywatelem, któremu

nowa ustawa ułatwi życie, będzie Aleksander Łukaszenko. Miałoby mu to ułatwić kolejną «elegancką wygraną» w zbliżających się wyborach prezydenckich 2011 r.

To, oczywiście, zbyt daleko idące wnioski, ale można być pewnym, że skoro Łukaszenko zależało na tym, żeby ustawa została przyjęta jak najszybciej, musi mieć on w tym jakiś interes. Wobec coraz większej dostępności komputerów oraz przenikanie Internetu w każdy zakątek Białorusi, niepokój władz o brak kontroli nad tak potężnym środkiem kształtowania opinii społecznej wydaje się całkiem uzasadniony. Wobec totalnego zakłamania ze strony mediów państwowych, dla większości obywateli, zwłaszcza młodych, właśnie Internet staje się źródłem niezakłamanej, rzetelnej informacji o tym, co się dzieje w świecie oraz w kraju.

Chiny, na doświadczenia których między innymi powołali się przedstawiciele Ministerstwa Informatyki, współtworzący projekt nowej ustawy, są uznawane za jednego z liderów w

zwalczaniu wolnych mediów elektronicznych. Na dzień dzisiejszy w Chinach zostało skazanych prawomocnymi wyrokami 48 blogg'erów, którzy umieścili w sieci informacje, uznane przez władze chińskie za niezgodne z prawem. Chiny co roku wydają setki milionów dolarów na cenzurowanie Internetu. Od 2007 r. w każdej kafejce internetowej w Chinach dwaj «funkcjonariusze cyber-policji» uważnie przyglądając się temu, jakie strony otwierają się na monitorach użytkowników, pilnując, żeby nie pojawiły się tam treści wyrotowe w rozumieniu władz chińskich. To się może wydawać niemożliwe, a jednak Chinom udało się w znaczącym stopniu ograniczyć dostęp swoich obywateli do «informacji niepożądanych». Zapewnienie pełnej kontroli nad «zgodnością z prawem» treści Internetu 10 milionowego państwa, takiego jak Białoruś, będzie o wiele łatwiejsze. I na to, najwidoczniej, liczą władze białoruskie.

Jak im pójdzie z realizacją tak «ambitnego» planu, dowiemy się już za



Kresy24.pl

to pierwszy Wschodni Portal Informacyjny!

Codziennie znajdziesz tu najnowsze wydarzenia z Białorusi, Rosji, Ukrainy i Kaukazu. Piszemy o wielkiej polityce, Polakach na Wschodzie, Kresach, o nieznannej historii i o bulwersujących zdarzeniach wokół nas. Poważne analizy i trochę mniej poważne ciekawostki ze świata – wszystko w Twoim zasięgu!

A czego u nas nie ma? Bełkotu polityków, rozebranych pańienek, głupich skandali, pseudo-kultury masowej i denerwujących reklam, od których roi się na wielu polskich portalach. My piszemy dla ludzi inteligentnych.

Chcesz być na bieżąco? Chcesz wiedzieć co i dlaczego dzieje się wokół Ciebie? Poznać kulisy polityki międzynarodowej, a przy okazji pośmiać się z absurdów post-sowieckiej rzeczywistości?

Witaj na portalu www.Kresy24.pl



NEZALEŻNYCH DZIENNIKARZY JEST NA BIAŁORUSI Z KAŻDYM ROKIEM CORAZ MNIEJ...

niespełna pół roku. Doświadczenia ostatnich lat nie wróżą jednak niczego dobrego przedstawicielom niezależnych mediów, których na Białorusi z każdym rokiem jest coraz mniej. Systematyczne niszczenie wolności prasy oraz wolności wypowiedzi na Białorusi dostrzegają przedstawiciele poważnych międzynarodowych organizacji, broniących wolności mediów. Niestety, ich protesty nie na wiele się zdają, bo władze Białorusi pozostają głuche na argumenty z zewnątrz i konsekwentnie kontynuują politykę planowego wyciskania niezależnych mediów z białoruskiego pola informacyjnego. W takiej sytuacji tylko interwencja z zewnątrz jest w stanie powstrzymać Łukaszenkę przed ostatecznym rozprawieniem się z mediami niezależnymi.

– Jesteśmy poważnie zaniepokojeni sytuacją z wolnością prasy na Białorusi. Nowa ustawa, w naszym uznaniu, jest kolejnym krokiem do całkowitego zniszczenia mediów niezależnych. Podpisując tę ustawę prezydent Łukaszenko faktycz-

nie legalizuje cenzurę w kraju, gdzie niezależne środki masowego przekazu i tak już są na granicy przeżycia – ocenia w rozmowie z *MAGAZYNEM* nową ustawę o mediach Elsa Vidal, kierowniczka działu Europy oraz państw byłego ZSRR międzynarodowej organizacji broniącej praw dziennikarzy «Reporterzy Bez Granic».

Również wśród dwunastu punktów przedstawionych Łukaszence przez Unię Europejską, które musi zrealizować Białoruś, żeby wobec niej zostały zniesione sankcje gospodarcze, znalazł się zapis mówiący o bezwzględnym poszanowaniu wolności prasy, jak jednego z podstawowych składników społeczeństwa otwartego i państwa demokratycznego.

Jak na razie Białoruś pod wieloma względami nie spełnia kryteriów państwa demokratycznego. Powszecne łamanie praw człowieka oraz naruszenie wolności, w tym wolności prasy, są najbardziej przykrymi a zarazem najbardziej spektakularnymi «osiągnięciami» białoruskich władz w ostatniej

dekadzie. Niestety, przyjęcie nowej ustawy o mediach nie świadczy o dobrej woli władz do rozwiązania problemów wewnętrznych w sposób konstruktywny, tylko jest potwierdzeniem opinii, którą na arenie międzynarodowej Białoruś ma już od wielu lat.

Jest oczywiste, że dopóki oficjalne władze państwowe w Mińsku nie zaczną przestrzegać podstawowych praw człowieka, dopóty opinia o Białorusi jak o «ostatniej dyktaturze w Europie» nie zostanie zmieniona. Niezależni dziennikarze, rzetelnie opisując rzeczywistość, próbują tylko dobrze wykonywać swoją pracę. Posądzenie ich o złą wolę, czy działanie na szkodę państwa jest absurdem. Wygląda jednak na to, że już za pół roku straszny sen każdego niezależnego dziennikarza stanie się nie mniej przygnębiającą rzeczywistością. Gdyby władze faktycznie zamierzały ekzekwować nowe prawo medialne z całą surowością, dla wielu dziennikarzy białoruskich oznaczałoby to po prostu zakaz wykonywania zawodu.

IGOR BANCER

BELSAT TV

BELSAT

Czym jest BELSAT TV?

BELSAT TV (TV Białoruś) jest nowym kanałem Telewizji Polskiej, utworzonym na podstawie umowy polskiego MSZ i TVP z 23 kwietnia 2007 r. Choć kanał formalnie został utworzony w 2007 r., to prace nad jego stworzeniem trwały już od czerwca 2006 r. Nad tym, żeby idea niezależnej telewizji dla Białorusi stała się rzeczywistością pracował zespół doświadczonych dziennikarzy z Polski oraz Białorusi pod kierownictwem Agnieszki Romaszewskiej-Guzy, która została Dyrektorem TV Białoruś.

Jak pojawiła się idea stworzenia BELSAT TV?

Idea powołania takiego kanału jest odpowiedzią na potrzeby, które zgłaszały białoruskie środowiska demokratyczne. Na Białorusi brak jest nie tylko dostępu do niezależnej informacji, ale bardzo utrudniony jest także dostęp do własnego języka, dziedzictwa i dóbr kultury. To wszystko stwarza przeszkody dla budowania otwartego społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi.

Dla twórców TV Białoruś to także rodzaj długu do spłacenia. Od lat pięćdziesiątych aż do osiemdziesiątych, dla Polaków żyjących pod dominacją komunistyczną, nieocenionym źródłem informacji i wiedzy o kraju i świecie były rozgłośnie radiowe nadające z Zachodu – chociażby takie jak legendarne już Radio Wolna Europa, czy Głos Ameryki. Funkcję, jaką wobec Polski pełniły wolne radiostacje, powinna dla Białorusi wypełniać teraz telewizja BELSAT TV.

BELSAT TV jest jednym z priorytetowych projektów polskiej polityki zagranicznej w dziedzinie współpracy międzynarodowej, skierowanym na rozwój demokracji i społeczeństwa obywatelskiego w innych państwach. Inicjatywa ta zdobyła uznanie u władz USA, a w tworzeniu BELSAT TV udział bierze również rząd Litwy. Chęć nawiązania współpracy wyraziły też Republika Czeska oraz Irlandia.

Misja BELSAT TV

Misją TV Białoruś jest informowanie mieszkańców

Białorusi. W programach BELSAT TV znajdziecie:

- dokładną i niezależną informację o wydarzeniach na Białorusi, w Europie, na świecie;
- ciekawe filmy fabularne;
- rzetelną publicystykę, która opowiada o prawdziwych problemach, aspiracjach, pozycji i szansach, jakie ma społeczeństwo białoruskie;
- bogatą ofertę kulturową, gdzie obok z tradycyjną kulturą białoruską znajdzie się miejsce dla jej nowego, awangardowego, europejskiego wizerunku;
- wysokiej jakości programy dla młodzieży z uwzględnieniem tych ciekawych zjawisk muzycznych, którym władze ograniczają możliwość dotarcia do masowego odbiorcy;
- obiektywne i ciekawe spojrzenie na historię Białorusi, ZSRR i Centralnej Europy.

Kto współtworzy BELSAT TV?

Nad programem kanału telewizji satelitarnej BELSAT TV pracuje kilkudziesięciu dziennikarzy na Białorusi, Litwie, w Polsce i Czechach. Stacja nadaje w języku białoruskim. W zamierzeniu twórców stacja ma być nowoczesna, dostarczając rozrywkę i informacje na najlepszym światowym poziomie, dorównując bez kompleksów stacjom Europy Zachodniej. Poruszając ważne dla obywateli Białorusi problemy, ma przedstawiać je w sposób obiektywny i bezstronny, aby nie być posądzaną o stronniczość i awanturnictwo polityczne.

Jak można oglądać BELSAT TV?

Programy stacji są transmitowane z satelitów SIRIUS oraz ASTRA. W tym celu trzeba nastroić w swoim odbiorniku następujące parametry:

SIRIUS – pozycja 5° E, polaryzacja H, częstotliwość 12 379 MHz;

ASTRA – pozycja 19,2° E, polaryzacja H, częstotliwość 10 773 MHz.

Kanał telewizji satelitarnej w języku białoruskim BELSAT TV codziennie nadaje sześciogodzinny program od 18:00 do 24:00 czasu białoruskiego (GMT+2).

«Druga repatriacja» z BSSR. 1955–59

Białoruski historyk Anatol Wialiki opisuje nieznane dotychczas fakty i szokujące kulisy działań sowieckich władz, które za wszelką cenę chciały uniemożliwić po II wojnie światowej wyjazd z BSSR tysiącom Polaków. Do jakich sposobów uciekało się sowieckie kierownictwo i czym zakończyła się tzw. «druga repatriacja» – przedstawiamy w naszej recenzji jego najnowszej pracy, pionierskiej w warunkach białoruskich.

Zagadnienie ewakuacji Polaków z ZSSR w latach 1945–46 i repatriacji z lat 1955–59 doczekało się kilku monografi polskich, z których najbardziej znane są opracowania K.Kersten i M.Latucha. Cenne informacje dotyczące uwarunkowań repatriacyjnych z tego okresu zawiera też zbiór dokumentów pod redakcją B.Kackiej i S.Stepki. Do najbardziej aktualnych, sumujących dotychczasowe ustalenia i aktualizujących dane o «drugiej repatriacji» należy monografia M.Ruchniewicz «Repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955–59» (Warszawa 2000). Temat w piśmiennictwie polskim można zatem uznać za zasadniczo zbadany. W tych okolicznościach szczególnie cieszy podjęcie kwestii przez badaczy z terenu, z jakiego «ewakuacja–repatriacja» się



DLA JEDNYCH ARMIA RADZIECKA NIOSŁA WYZWOLENIE, DLA INNYCH – BÓL I CIERPIENIA

odbywała. Wybitny a zarazem praktycznie jedyny na Białorusi badacz tej kwestii, dr Anatol Wialiki, wykładowca Białoruskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego w Mińsku, na podstawie wnikliwych badań źródłowych i

kwerendy na Białorusi i w Polsce, przedstawił w ostatnim czasie dwa świetne źródłowe opracowania kwestii. Drugiemu z nich jest poświęcone niniejsze omówienie.

Opracowanie białoruskie jest monografią pionierską, bowiem

ani piśmiennictwo okresu BSSR, ani Republiki Białoruś, zagadnienia tego dotąd w tak pełnym wymiarze nie podejmowało z dwóch powodów. Po pierwsze – politycznych, po drugie – z powodu, jak należy sądzić, swoistego «kompleksu polskiego» jaki panuje na współczesnej Białorusi. «Polityczność» pierwszego powodu jest w zasadzie oczywista, a jego szczególnym rysem była chęć wyciszenia problemu polskiej mniejszości w tej sowieckiej, a zarazem przygranicznej z Polską (PRL) republice. A przecież to właśnie tam – w sposób zwarty – na obszarze Grodzieńszczyzny i zachodniej Mińszczyzny mieszkała i nadal mieszka największa liczba Polaków. Spisy sowieckie, dalekie od rzetelności, ukazywały liczby ponad półmilionowe. Mniejszość ta, nieznaną w ówczesnej Polsce, nie miała niemal żadnych kontaktów z Krajem. Nie miała też, poza nielicznymi parafiami katolickimi, jakichkolwiek instytucjonalnych organizacji polskojęzycznych (w sąsiedniej Litewskiej SSR mniej liczebna grupa Polaków posiadała szkolnictwo i wcale liczną prasę polskojęzyczną). Politycznie i w ogóle – publicznie – Polacy na Białorusi nie istnieli. Nie przypomniano zatem w ówczesnym piśmiennictwie, że ponad 300 tysięcy spośród nich w dwóch wielkich falach opuściło białoruski Kraj Sowieców.

W PRL kwestii także nie podnoszono, z obawy przed reakcją nie tyle Mińska, co Moskwy. Drugi powód, współczesny, jest diametralnie inny. Na fali «pieriestrojki» oraz w pierwszych latach prób budowy ustroju demokratycznego w BSSR–RB nastąpiło zjawisko niezwykle dynamicznego ujawnienia się polskiej mniejszości narodowej, która niemal natychmiast i powszechnie utworzyła swoją kilkudziesięcioletnią organizację społeczno–kulturalną: Związek Polaków na Białorusi (ZPB). Ta aktywizacja Polaków spotkała się z podwójną niechęcią, a

nawet z obawami. Ze strony ówczesnych władz – zarówno centralnych jak i terenowych – oraz ze strony białoruskiej opozycji narodowej. Wówczas to pojawiły się trwające do dziś twierdzenia, że na Białorusi nie było i nie ma Polaków, a są tylko spolonizowani lub skatolicyzowani Białorusini, co najwyżej – tzw. «paszportowi» lub «kościelni» Polacy. Padaly nawet zarzuty o nielojalności oraz dążeniu białoruskich Polaków do oderwania «Zachodniej Białorusi» od RB. Tendencja nieuznawania realnej polskości na Białorusi przez tamtejsze piśmiennictwo jest w zasadzie powszechna. Także w odniesieniu do tych, którzy wyjechali w ramach ewakuacji i repatriacji do powojennej Polski. Dwa przykłady.

Z.Szybieka w wydanej w Polsce «Historii Białorusi» pisze: «Wymiana ludności z Polską – (...) zdołało wyjechać 232.200 osób, wśród których większość stanowili Białorusini» (s.368), zaś atlas demograficzny Białorusi (i Białorusinów na świecie) zamieszcza mapkę województwa olsztyńskiego, na której zaznacza «10 proc.» równomiernego zasiedlenia Białorusinów, tj. polskich repatriantów z BSSR. Podnoszenie zatem kwestii polskiej – a nieoficjalne dane świadczą o co najmniej 1 milionie Polaków w 10–milionowej Białorusi, mieszkających zwarcie na zachodzie i północy kraju – powoduje swoistą niechęć badawczą. Nieliczni badacze oraz politycy białoruscy nie są nią owładnięci. Do takich rzetelnych i nieuprzedzonych, nielicznych w RB, należy docent Wiałiki, czego dowodem – recenzowana tu jego monografia. Wiałiki nie kwestionuje polskości tamtejszych Polaków. Nie ciąży na nim metodologia sowiecka. Jest obiektywnym narratorem i komentatorem źródła. Rozprawa Wiałkiego ma bowiem tę podstawową zaletę, że jest oparta głównie o sowieckie źródła archi-

walne, w większości niedostępne badaczom z Polski.

Omawiana monografia, oprócz wstępu, zakończenia, wykazu skrótów, literatury i źródeł oraz aneksu, składa się z trzech merytorycznych rozdziałów (I. Na kierunku wschodnim ucichło, II. Chruszczowowska «odwilż»: przełom na kierunku wschodnim, III. Pozwólcie nam wyjechać...). Charakterystyczne, że Autor nadał tytułom formę opisową zaczerpniętą z języka dokumentów jakie przebadał. Podobnie uczynił z paragrafami – podrozdziałami (por. niżej). Oddaje

Punktem zwrotnym dla większości mieszkańców wschodnich terenów II Rzeczypospolitej stał się dzień 17 września 1939 r.

to nie tylko istotę problematyki ale – co w opracowaniach naukowych rzadkie – podkreśla dramatyzm sytuacji w jakiej znalazły się setki tysięcy ludzi postawionych przed pytaniem: «Wyjeżdżać czy pozostać?». A jeśli wyjeżdżać, to jak «dobić się» często wręcz nieosiągalnego pozwolenia, wobec obstrukcji lokalnych białoruskich władz sowieckich? Niezwykle cenny poznawczo jest zamieszczony aneks, w którym A.Wiałiki pomieścił tabele, sprawozdania i raporty władz związane z akcją repatriacyjną. Już w tym miejscu zwracamy uwagę, że są to dokumenty w 99 proc. opatrzone gryfem «tajne», a zatem – w większości nie mogły być dotąd przedmiotem oglądu badaczy z Polski. Wiałiki te dokumenty wydobył i upublicznił, przez co wprowadził do obiegu naukowego.

Jak już zaznaczono, opracowanie powstało przede wszystkim na podstawie analizy merytorycznego materiału archiwalnego, a zatem «czystego źródła». W większości na Białorusi dotąd nie eksplorowanego i nieznanego badaczom polskim. To ogromna zaleta re-

cenzowanego opracowania, gdyż relacjonuje materię w oparciu o utajnione, a zatem urzędowo «szczerze» informacje sowieckie. Obok archiwów wschodnich Wialiki dokładnie zapoznał się z zasobami merytorycznych polskich zespołów archiwalnych. Ustalenia i wnioski skonfrontował z literaturą, to jest z przyczynkami białoruskimi i rosyjskimi (sowieckimi i współczesnymi) oraz polską literaturą przedmiotu. Baza źródłowa dla prezentowanych treści i postawionych tez jest jak najbardziej właściwa.

W rozdziale pierwszym, w pierwszym podrozdziale, na blisko 20 stronach Wialiki prezentuje zmiany w podejściu do sprawy, dla Polaków w dzisiejszej Polsce niezrozumiałej lub kontrowersyjnej, a mianowicie – problemu ideologicznego podejścia do znaczenia nadawanego

Wialiki uważa to za próbę ukrycia daty paktu Ribbentrop–Mołotow.

Podrozdział zawiera ciekawe spostrzeżenie odnośnie stosunku miejscowych Polaków do okoliczności ówczesnego (1949) świętowania «zjednoczenia». Stosunek ten był powszechnie krytyczny. Przejawiło się to przede wszystkim w masowych odmowach, przez całe wsie i rejony w większości zamieszkałe przez Polaków, składania podpisów pod powszechnym «spontanycznym» dziękczynnym listem «Białorusinów do Stalina». Jak świadczą przytaczane przez autora zapiski milicji i KGB, Polacy – poza generalnie niechętnym stanowiskiem wobec zaistniałych warunków – motywowali odmowę tym, «że ma to być list od Białorusinów», zatem ich, Polaków, nie dotyczy. Szczególne podkreślenie

dziesięciolecia, obok «okrągłej» rocznicy, miało – jak zaznacza autor – utwierdzić mieszkańców BSSR, a obwodów zachodnich w szczególności, że «zjednoczone» ob-

odniej części republiki ze wschodnią było już wykonane. Generalnie postępująca sowietyzacja, dwie fale repatriacyjne (Polaków), przymusowa kolektywizacja, wyniszczenie resztek antysowieckiego podziemia polskiego i białoruskiego, w dziedzinie gospodarczo–społecznej – stabilizacja, postępy w powszechnej dziedzinie edukacyjno–kulturalnej ludności oraz powszechne procesy urbanizacyjne – zunifikowały w znacznej mierze republikę» (s.28–29).

Wialiki nazywa to logicznym skutkiem «procesu jednoczenia narodu, które zaczęło się we wrześniu 1939 roku». Tu będziemy z autorem w sporze. Pisze on bowiem dalej, że odtąd kolejno rocznicami nieznajdowały znaczącego traktowania. Zdawkowe teksty w gazetach, akademie i to wszystko. Pisze też, że 50. rocznica pozostała niemal «niezauważona». Zapewne tak. Dlaczego jednak w książce wydanej w 2007 roku Anatol Wialiki nie zauważył rocznicy ostatniej 60–ej, z roku 1999? Ta bowiem obchodzona była z niebywałym rozmachem. Głównie intelektualnym. Artykuły prasowe na pierwszych stronach i przez kilka dni, wywiady z działaczami KPZB, specjalne konferencje naukowe i publikacje ich efektów miały wymiar powszechny i jednoznacznie gloryfikujący. A było to – przypomnijmy – już w okresie gdy BSSR przestała istnieć – w suwerennej Republice Białoruś. W przypomnieniu święta nie uczestniczyli już sprawczo działacze KPB, ale bezpartyjni dziennikarze i działacze społeczni oraz naukowcy, w znacznej mierze orientacji narodowo–niepodległościowej. Co było powodem? Naszym zdaniem, sytuacja jakby paralelna do tej z 1949 roku. Po pierwsze – masowe, publiczne ujawnienie polskiej mniejszości narodowej. Jej równie masowe zorganizowanie się w ZPB, powszechne odrodzenie parafii katolickich (wówczas – odmiennie od dnia dzisiejszego – wyłącznie z polskojęzyczną

Po II wojnie światowej sowieckie władze za wszelką cenę chciały uniemożliwić wyjazd z BSSR tysiącom Polaków.

obchodom «Rocznicy 17 Września», traktowanego przez wszystkie współczesne kierunki polityczne w RB (podobnie jak za Sowietów) za: «sprawiedliwy akt zjednoczenia Zachodniej Białorusi z BSSR». Podkreślamy to z uwagi na fakt tegorocznych propozycji jakie na Białorusi zgłosili politycy i historycy związani z obecną władzą, by 17 Września uznać za oficjalne święto państwowe RB. Pisze zatem Wialiki, że obchody «święta zjednoczenia Białorusinów» w różnych latach miały różne natężenie. Bezpośrednio po wojnie obchodzono je umiarkowanie, zaś apogeum nastąpiło w 10. rocznicę, w roku 1949 (zaledwie 4 lata po zwycięstwie na Niemcami – sic!), z tym, że obchody owe przeniesiono na październik, datę związaną z «przyjęciem Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSSR» przez ówczesną Radę Najwyższą ZSSR.

szary na trwałe należą do sowieckiej Białorusi. Gdyż jak podkreśla Wialiki, podając przykłady wypowiedzi, w szerokich kręgach nie tylko społeczności miejscowych Polaków, ale nawet dygnitarzy partyjno–państwowych BSSR wyrażano niepokój co do kwestii granicznych. Nadal zaś utrzymujący się podział na «zachód» i «wschód», widoczny w praktyce życia obu części BSSR, martwił władze dążące wszelkimi sposobami do jego przezwyciężenia. Do obchodów w dniu 17 września powrócono w latach późniejszych, gdy uznano trwałość bytu sowieckiej republiki. W dwudziestolecie (1959 rok) obchody były już znacznie skromniejsze. Warto poznać powody (stricte polityczne), o których pisze Wialiki:

«(...) dlaczego święto stało się byle jakie i beznamienne? Bo (...) strategiczne zadanie zunifikowania zach-

liturgia). Wreszcie – upadek ZSSR, zaistnienie w pełni suwerennej Polski, a zatem podświadomie i świadomie wyrażane na Białorusi obawy, że «Polacy odbiorą Zachodnią Białoruś». Trzeba było «dać odpór». O jego sile pisaliśmy w cytowanej w przypisie pracy. O ówczesnych lękach Białorusinów świadczyły też liczne inne publikacje. Zacytujmy kilka reprezentatywnych. Miński badacz L.W.Tierieszkowicz pisał:

«Rzeczywistość procesów aktywności odrodzenia i rozwoju narodowości polskiej wyraził się w powstaniu w 1991 roku Związku Polaków na Białorusi (...), znaczącą rolę w rozwoju ruchu polskiego odgrywa Kościół. Zdecydowaną większość kapłanów katolickich stanowią etniczni Polacy, uznający wszystkich katolików na Białorusi za Polaków. Popularność katolicyzmu, który w odróżnieniu od prawosławia zawsze był w opozycji wobec reżimu komunistycznego, szczególnie wśród młodzieży, jest znacząca. Powodzenie prowadzonej przez księży polonizacji sprzyja znacznemu rozprzestrzenieniu się nastrojów polonofilskich, wzmocnionych oczywistymi w porównaniu z Białorusią, sukcesami Polski na drodze odchodzenia od totalitaryzmu i zachodzącymi tam zmianami ekonomicznymi. W takiej to sytuacji oraz w warunkach deetniczacji na Białorusi, liczba mieszkańców uważających się za Polaków może znacząco wzrosnąć. W pełni realną staje się perspektywa polonizacji, w przyszłości nawet swoiste rozdarcie północno-zachodniej Białorusi od reszty kraju».

W podobnym tonie, a nawet jeszcze bardziej alarmistycznym, wypowiedzieli się zarówno białoruscy działacze opozycyjni jak i publicyści związani z różnymi kręgami post-sowieckiej władzy. W. Zadalja, dziennikarz i radny grodzieński, w miejscowym tygodniku «Pahonia» (kwiecień, 1993) pisał:

«...na Grodzieńszczyźnie rozgrywa się obecnie rosyjską i polską kartę



SKŁAD NARODOWOŚCIOWY II RP WEDŁUG SPISU LUDNOŚCI Z 1931 R.

(...), w miejsce byłych komitetów KPB, w każdym rejonie obwodu utworzono regularne organy Związku Polaków na Białorusi (...), musimy dać temu odpór».

Późniejsze wydarzenia pokazały oczywisty fakt, że «Polacy» (tj. suwerenna od 1989 roku Polska) nie zamierzają odbijać ani Wilna, ani Lwowa, ani Grodna, Nowogrodka czy Baranowicz. Kompleks jednak pozostał. Niejednokrotnie, zwłaszcza w kontekście przystąpienia RP do NATO, władze RB określały polską mniejszość mianem «piątej kolumny». Sam zatem fakt tak znacznego wyeksponowania przez A.Wialikiego kwestii «zjednoczenia» (cecha całego piśmiennictwa białoruskiego) już w pierwszym rozdziale książki o

drugiej fali wyjazdów Polaków z BSSR, świadczy o swoistej traumie Białorusinów w odniesieniu do – jak się okazuje – wciąż aktualnej dla nich «kwestii polskiej» w ścisłym związku z efektami «17 Września 1939 roku».

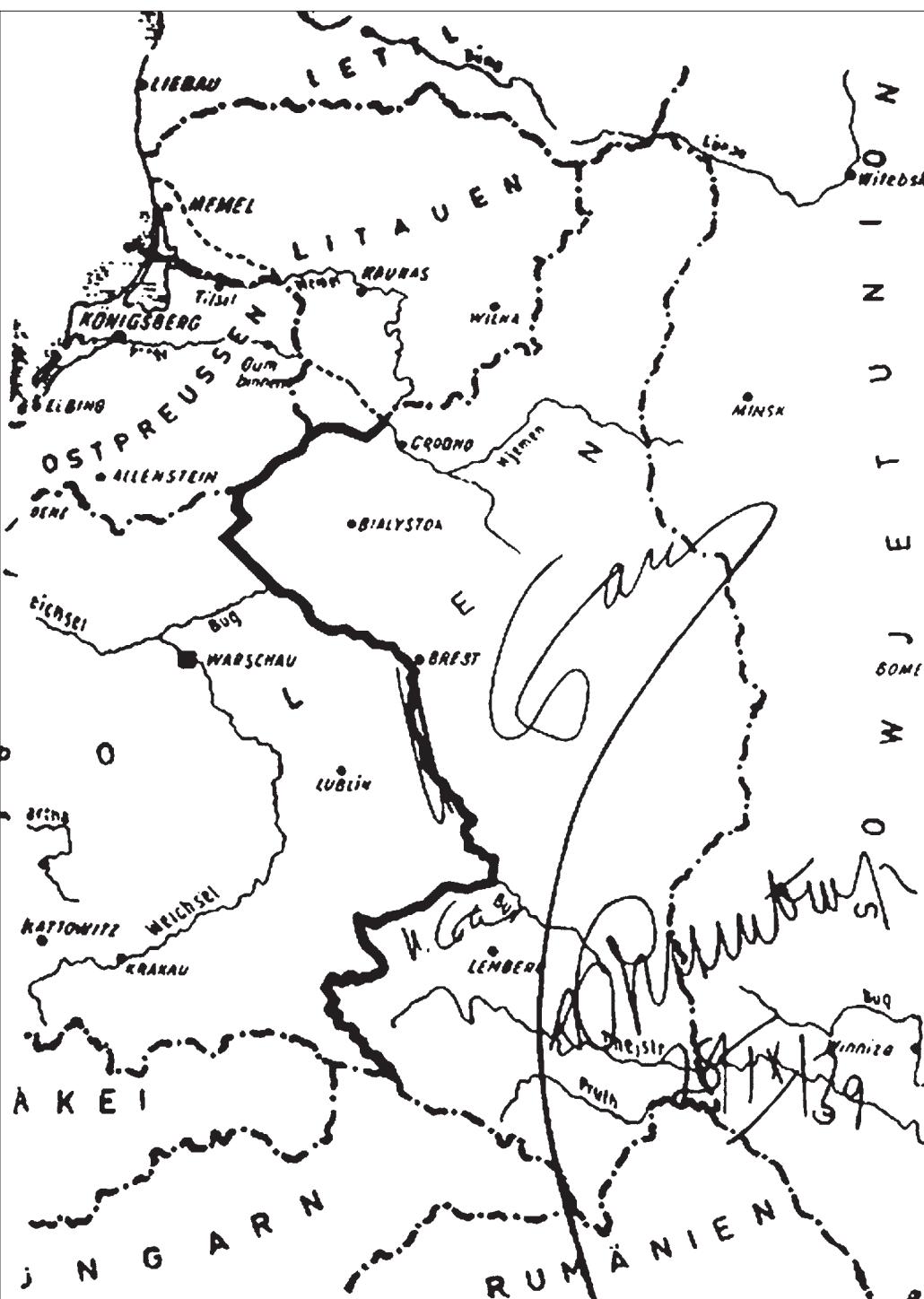
Jak zaznacza Wialiki na wstępie, w połowie 1946 roku, po zakończeniu wynikającej z umów BSSR – rząd powojennej Polski ewakuacji, strona sowiecko-białoruska oraz w ogóle sowiecka uznała, że problem jest rozwiązany ostatecznie: «kto chciał – ten wyjechał i dalszych migracji nie będzie». W dzisiejszej Polsce panuje powszechne przekonanie, że podobnie uważały komunistyczne władze w PRL. Nic bardziej błędnego. Z opracowań Wielkiego wynika jed-

noznacznie, że wskutek znajomości realiów na miejscu (BSSR) jak i stałego, a po roku 1955–56 – masowego nacisku w tej sprawie przez zainteresowanych w Polsce, ówczesne PRL-owskie MSZ, na miarę politycznych możliwości, stale monitorowało problem, zamierzając w dogodnym momencie dopomóc setkom tysięcy Polaków w ZSSR (w tym uwięzionym – sic!) w wyjeździe do nowej dla nich Polski. Wiałiki dowodzi, że ówcześni peerelowscy dyplomaci w Moskwie (Moskwa nie

zgadzała się na wielokrotne próby ustanowienia Konsulatu Generalnego PRL w Mińsku) wielokrotnie podejmowali tematykę repatriacji, ale «odbijali się, jak od głuchej ściany» (s.35). Rozmowy, a raczej ich próby ze strony polskiej dotyczyły najpierw spraw osób, które wprawdzie zarejestrowane – nie zdołały wyjechać w latach 1944–46 oraz miały krewnych w Polsce (ówczesna koncepcja akcji «łączenia rodzin»). Nawet te ostatnie, wydawałoby się oczywiste i stosunkowo nieliczne przypadki

(ambasada PRL przedstawiła listę 3.411 takich rodzin) spotkały się z kategorię sowiecką odmową. Osobista interwencja na najwyższym szczeblu – rozmowa do jakiej doszło między ambasadorem Naszkowskim a szefem sowieckiego MSZ Mołotowem sprowadziła się do tego, co podkreśla Wiałiki, że ten ostatni – nie wykluczając wyjazdów w ściśle indywidualnych wypadkach – oświadczył, że «(...) są to ludzie (Polacy w ZSSR), którzy asymilowali się w systemie sowieckim i czują się tutaj u siebie» (s.34). Okazało się w praktyce – tu już sowiecko-białoruskiej, że nawet o indywidualnych wyjazdach mowy być nie może. Autor wskazuje na powody, dla których, jego zdaniem, władze zajęły tak nieprzejednaną postawę: chodziło o co najmniej 300 tysięcy ludzi zdecydowanych jeszcze we wcześniejszym okresie na wyjazd. Wraz z pozostałymi, gdyby wyjechali, groziło to оголоceniem zachodnich rejonów BSSR, z siły roboczej, w tym upadkiem kolchozów i wielu innych zakładów pracy.

W międzyczasie nastąpiła jednak specyficzna i dwukierunkowa «repatriacja» w związku z demarkacją delimitowaną w 1944 roku granicy polsko-sowieckiej. Na odcinku BSSR autor omawianej monografii określił ją wymownie jako «demarkację granicy białoruskiej bez udziału Białorusi». Pokreślić bowiem trzeba, że umowy o ewakuacji, jakie polski rząd komunistyczny, za zgodą władz centralnych ZSSR, bezpośrednio zawierał z przygranicznymi republikami sowieckimi, Moskwa traktowała raczej paternalistycznie. Jednak po ich wykonaniu wszelkie kwestie stosunków międzynarodowych powróciły bezwarunkowo do moskiewskiej centrali. Wiałiki podkreśla, że w przypadku BSSR (pisze zamiennie «Białoruś» bez dodatku: «sowiecka», co uważamy za nieuprawnione) była to jedyna umowa, jaką zawarła ona z Polską za cały okres swego istnienia. Autor, jak wielu współczesnych



MAPA POLSKI Z LINIĄ PODZIAŁU, PODPISANA WŁASNORĘCZNIE PRZEZ STALINA I VON RIBBENTROPA



PO DOKONANIU IV ROZBIORU POLSKI SOWIECI I NIEMCY PARADOWALI WSPÓLNIE W BRZEŚCIU. WRZESIEŃ 1939 R.

badaczy w RB, zadaje przy tym dosyć naiwne pytanie: «Gdzie była strona białoruska przy demarkacji?» I dalej: «(...) Moskwa całkowicie zignorowała kierownictwo Białorusi (...)» (s.44). Autorowi i Jego Kolegom można odpowiedzieć: bo to nie była Białoruś, państwo – samodzielny podmiot, lecz BSSR w składzie ZSSR. Rozważania prawno – międzynarodowe są wobec tego zasadniczo zbędne.

Wytłumaczenie jest raczej proste (Wiałiki częściowo o tym wzmiankuje): w latach 1944–46 pozorna samodzielność BSSR miała dowodzić jej podmiotowości w związku z przymusowym członkostwem w ONZ. Ponadto szło o utrwalenie pozorów naturalnego jakoby «zjednoczenia» z 17 września 1939 roku. Demarkację natomiast prowadzono wyłącznie w imieniu ZSSR i mowa była o granicy ZSSR, a nie BSSR, z powojenną Polską. Demarkacja wywołała wiele problemów, gdyż strona sowiecka usiłowała wymusić ustalenie linearne, co w praktyce dzieliło nie

tylko wsie, ale pojedyncze gospodarstwa. Na wniosek Polski zrealizowano zasadę wymiany całych miejscowości, z możliwością dobrowolnych przesiedleń ludności. Jak pisze Wiałiki, wzajemne przesiedlenia wywołały znaczne niepokoje wśród ludności, zwłaszcza części wiosek białoruskich, których mieszkańcy byli przekonani, że przesiedlenie jest obowiązkowe. Zdarzyły się zatem przypadki, że kilka wiosek już ewakuowanych powróciło na stronę polską, dowiedziawszy się o opcji dobrowolnej. Podobnie, choć w mniejszym zakresie, (indywidualna opcja zainteresowanych) dotyczyło to niektórych wiosek polskich po stronie sowieckiej. Opis wymiany demarkacyjnej dokonany przez autora – to wyjaśnienie lokalnej ale ważkiej i szerzej nieznannej problematyki badawczej. Akcję, o której pisze Wiałiki, zakończono w czerwcu 1948 roku. W efekcie – dowiadujemy się, że na odcinku białoruskim granicy polsko–sowieckiej po stronie polskiej znalazło się 37 miejscowości

z ludnością 6.121 mieszkańców. Po stronie ZSSR–BSSR z kolei – 22 miejscowości z 2.379 mieszkańcami. Były wszakże korekty, w wyniku których w kwietniu następnego roku z sowiecko–białoruskiego regionu sopockińskiego (do dzisiaj zamieszkałego w ponad 90 proc. przez Polaków) dokonano cesji na rzecz Polski: 19 wiosek z 5.367 mieszkańcami i jeszcze w roku 1955 – kolejnych dwóch wiosek «i 4 chutorów», z ludnością 1.835 mieszkańców. Przypomnienie tego mało znanego epizodu, wraz z opisem okoliczności, to istotne ustalenie badawcze.

Jeszcze ważniejsze ustalenia, tym razem zupełnie nie odnotowane wcześniej w literaturze przedmiotu, zawarł Anatol Wiałiki w kolejnym podrozdziale zatytułowanym dosyć przewrotnie, bo: «Pomiędzy prawosławną Moskwą a katolicką Warszawą». Nadając taki tytuł autor zdaje sobie sprawę, że ani ówczesna «Warszawa» (władza), ani tym bardziej «Moskwa» nie były takimi,

jak je nazywa. Były środowiskami politycznie antyreligijnymi i ateistycznymi. To, co autor chce pokazać, dotyczy raczej zagadnienia cywilizacyjnego, a w danym konkretnym wypadku – akcji zaaranżowanej przez najwyższe kręgi władz sowieckich, z pełnym zaangażowaniem zadziwiającego zestawu uczestników: władz partyjno–państwowych ZSSR, BSSR, Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego, przedstawicieli Cerkwi w BSSR oraz nacjonalistycznie nastawionych księży katolickich, zaangażowanych w białorutenizację Kościoła (a raczej jego resztek) w BSSR. Wiałiki dodaje, jak zaznacza – «z pewnym zdziwieniem», że do akcji włączyła się także «część (białoruskiej) inteligencji twórczej», przytaczając w tej mierze antykatolickie i antypolskie zarazem wypowiedzi tak znanych literatów jak M.Tank, P.Piestrak i R.Szyrma. W tym miejscu dodajmy, że podobnie jak nie można traktować BSSR jako «Białorusi» (państwa), nie można również uważać sowieckich «działaczy frontu kultury», np. sowieckich pisarzy z BSSR, w katego-

riach znanych z demokratycznych państw – jako «przedstawiciele inteligencji twórczej». Chyba, że są w opozycji do systemu. Piestrak i Tank opozycjonistami nie byli. Co więcej, «Tank» (właściwie Jauhen Skurko) był sztandarową postacią Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi – organizacji agenturalnej, wywrotowej i okresowo terrorystycznej wobec polskiego władztwa państwowego II RP. Zdziwienie Wiałikiego w obiektywnym kontekście jest więc również i tu nieuprawnione.

Idea, którą na podstawie archiwaliów przedstawił Wiałiki, opierała się na założeniu, że bazą miejscowej polskości jest Kościół i katolicyzm, zaś celem winna być depolonizacja «białoruskich katolików», prowadzona dwukierunkowo: poprzez białorutenizację liturgii oraz – co ciekawsze – «neutralizowanie duchowieństwa rzymsko–katolickiego w regionie zachodniobiałoruskim i zawrócenie na łono rosyjskiej Cerkwi prawosławnej wierzących katolików z tego regionu» (s.55). Wszystko zaś po to, aby zlikwidować «polski prob-

lem» poprzez zmianę świadomości narodowej tutejszych Polaków na Białorusinów (Białorusinów-prawosławnych lub przynajmniej Białorusinów–katolików). Wiałiki ukazuje więc niezwykle przedsięwzięcie, jakim był sojusz ateistycznego państwa, prawosławnej Cerkwi, białoruskiej «inteligencji twórczej» i nacjonalistycznych (do czasu tolerowanych) białoruskich księży katolickich (wspomina o tak znanych postaciach jak ks. A.Stankiewicz oraz ks. W.Szutowicz, podkreślając, że pierwszy z nich złożył partyjno–państwowym władzom BSSR specjalny projekt w tej sprawie) w «dziele», które można określić jako zorganizowane działanie depolonizacyjne. Dla badaczy problemu to nic nowego (Wiałiki także to podkreśla). Wiadomo przecież o depolonizacyjnych działaniach caratu, a podczas II wojny światowej – okupantów niemieckich, pospołu z kolaborantami białoruskimi. Zawsze pierwsze uderzenie skierowane było w wolność sumienia i (...) język polski w Kościele. Tym razem jednak «front» przybrał formułę zaskakującą nawet znawców. Autor nie podaje szczegółów realizacji tej akcji. Píše natomiast w konkluzji, nieco eufemistycznie, że mimo praktycznego wyniszczenia miejscowych kapłanów i likwidacji parafii, zamysł nie udał się na żadnym z podjętych kierunków, wobec niezłomności polskich duchownych i wiernych Polaków, a «(...) bizantyjska prawosławna Moskwa w regionie zachodniobiałoruskim w wojnie o dusze wiernych przegrała z katolicką Warszawą» (s.67). Katolicy w BSSR w swej masie pozostali Polakami, gdy idzie o samoświadomość. Ważnym postulatem badawczym jest by tak znakomity i obiektywny znawca problematyki, jakim jest Wiałiki, przedstawił tę interesującą kwestię w odrębnym, pogłębionym studium. Tym bardziej, że problem zyskał na aktualności współcześnie. Usilna białorutenizacja liturgii, a zatem Kościoła w RB, jaką obserwujemy w



REPATRIACJA Z 1956 R. GŁĘBOKO ROZCHWIAŁA NASTROJE W CAŁEJ ZACHODNIEJ CZĘŚCI BSSR

ostatnich czasach – to kolejny etap przedsięwzięć depolonizacyjnych na tym terenie. Tym razem jednak prym w owej powszechnej akcji wiodą duchowni, którzy w ostatnich latach przybyli na Białoruś... z Polski!

W rozdziale II Autor wskazuje na okoliczności, w jakich wystąpił problem repatriacji Polaków z ZSSR i BSSR w związku z «chruszczowowską odwilżą». Wiałiki powraca do sygnalizowanej wyżej, a mało znanej w piśmiennictwie polskim, kwestii prób uzyskania zgody Moskwy na utworzenie w Mińsku Konsulatu Generalnego PRL. Mogło to w znacznym stopniu (takie były zamiary władz PRL) ułatwić powrót do rozmów o kontynuacji repatriacji i stworzyć jakieś formy opieki nad tutejszą ludnością polską. Konsulat wówczas, jak wiemy, nie powstał, zaś problem wielkiego parcia społecznego tutejszych Polaków na wyjazd – narastał. Jeszcze przed nim, w latach 1951–52, udało się częściowo, dzięki konsekwentnym naciskom peerelowskich władz, uzyskać zgodę na powrót 211 polskich sierot i dzieci zagubionych przez rodziców przebywających już w PRL. Problem ten zna polska literatura przedmiotu. Zaslugą Wiałkiego jest uzupełnienie na podstawie sowieckich archiwaliów, szczegółów przedsięwzięcia. Cenne są informacje o celowych utrudnieniach czynionych przez centralne i lokalne władze BSSR. Wiałiki zaznacza jednak, że części dzieci udało się wyjechać później, w ramach drugiej fali repatriacji z BSSR.

Rok 1956 był rokiem przełomowym dla kilkuset tysięcy Polaków w ZSSR, w tym BSSR. Cytując białorusko-sowiecki dokument z tamtego czasu jako tytuł kolejnego podrozdziału Wiałiki celnie zauważa: «Repatriacja (...) głęboko rozchwiała (nastroje) w całej zachodniej części BSSR». Nacisk zarówno oddolny, jak polskiego MSZ i ambasady PRL w Moskwie, jeszcze przed podpisaniem porozumienia o masowej repatriacji, spowodowały niemal niemożliwe

– w 1955 roku i na początku roku 1956 zdołało wyjechać z ZSSR aż 30.800 osób (głównie Polaków), w tym z BSSR – 5.938, z czego 5.800 narodowości polskiej. Dane polskie (M. Ruchniewicz) mówią w tym przypadku o liczbie znacznie wyższej – aż 10.067. Wiałiki podkreśla, że chodzi tu nie tyle o wyjazd z BSSR, co o osoby znajdujące się w innych częściach ZSSR, które po przyjeździe do Polski podały miejsce urodzenia

liki przedstawił jednak kwestię z punktu widzenia realiów BSSR, w tym stosunku tamtejszych władz (od centralnych – do najniższych, w tym nawet kierownictw wybranych kolchozów!). Ta lokalna specyfika, praktyka oraz wydarzenia obficie cytowane z dokumentów, stanowią o wartości badawczej i poznawczej tej części jego monografii. To oryginalny wkład badawczy w z natury ogólniejsze ustalenia badaczy polskich.



USTALENIE LINII CURZONA PRZYPIECZĘTOWAŁO WCIELENIE ZACHODNIEJ BIAŁORUSI DO BSSR

na terenie późniejszej BSSR. Stąd różnice w liczbach. W tym rozdziale, zwłaszcza tam gdzie Wiałiki opisuje i analizuje praktyczną realizację sowiecko-polskiej umowy o «repatriacji niektórych kategorii byłych obywateli polskich z terytorium ZSSR» z kwietnia 1957 roku, dowiadujemy się o niezwykle ważnych, mało znanych dotąd okolicznościach. Ogólny przebieg i rezultaty liczbowe tej repatriacji są znane w polskiej literaturze przedmiotu, Wia-

Wiałiki zwraca uwagę na kilka praktycznych w tym ogromnym przedsięwzięciu kwestii. Pierwszą była sama informacja o tym, że repatriacja jest możliwa. Wiałiki podkreśla, że na informacje o zawarciu porozumienia o repatriacji władze sowieckie, tak centralne jak i republikańskie, nałożyły srogą «blokade informacyjną». Żadnych artykułów, ogłoszeń czy obwieszczeń. Nawet na prośbę ambasady polskiej i pełnomocnika



UDOKUMENTOWANIE W BSSR NARODOWOŚCI POLSKIEJ STAŁO SIĘ WIELKIM PROBLEMEM

ządu polskiego ds. repatriacji. «Ale i tak wszyscy o tym wiedzieli!» – dodaje Wiałiki. Wiedzieli od krewnych w Polsce, gdzie akcja – jak zaznacza autor – ze względów politycznych (gomulkowa «odwilż») była nagłaśniana w środkach przekazu. Wielu krewnych przybyło wówczas w odwiedziny do BSSR, jeszcze więcej przysyłało listy i zaproszenia. Wiałiki podkreśla na marginesie, że według danych archiwalnych, cała korespondencja z Polski była kontrolowana przez KGB. Ponadto odbierano audycje i Programu PR. Pełnomocnik polski, a nawet wojewódzkie organy administracji w przygranicznym Białymstoku, wydały specjalny «Informator repatrianta» (40 stron dokładnych informacji praktycznych po polsku) rozpowszechniany nieoficjalnie w obwodach grodzieńskim i mołodeczańskim. Wiałiki pisze, że informator ten był

nawet oznaczony specjalnym gryfem (na podobieństwo Biuletynu Informacyjnego AK – Z.J.W.). Na pierwszej stronie był napis: «nie niszczyć – przeczytaj i przekaz innym». Władze lokalne raportowały o «emisariuszach z Polski» oraz domagały się zaprzestania tej nielegalnej, w ich mniemaniu, akcji. Donosy ślali nawet dyrektorzy kolchozów, wyraźnie przestraszeni rozmachem akcji oraz jawnym już negatywnym stosunkiem do nich i sowieckiej rzeczywistości ze strony ludzi, którzy ocknęli się z kolchozowego koszmaru. Autor cytuje niejakiego A. Białouskiego (Białowskiego) – dyrektora kolchozu im. Żdanowa w Krywiczach (k. Mołodeczna). Pisał on do MSZ ZSSR (nie BSSR – sic!): «(...) przyjeżdżający z Polski urlopowicze prowadzą jawną robotę nacjonalistyczną z celem namawiania do wyjazdów do Polski i

zaraz wszystkie te rodziny otrzymują zaproszenia. My tu na miejscu uważamy, że nie byłoby pożądanym przesiedlanie tak wielkiej liczby ludzi, a w dodatku przyniosłoby to wstyd naszemu państwu. To nie są Polacy, tylko katolicy (...)» (s.122). Wiałiki konkluduje, że mimo totalnej blokady, dzięki krewnym, Polskiemu Radiu, listom, przywożonym gazetem i «nielegalnej» akcji ambasady polskiej w Moskwie – cała «Zachodnia Białoruś» dokładnie poznała warunki repatriacji.

Problem zaczął się w momencie uruchomienia akcji. W BSSR władze partyjne, państwowe i organa milicji – mimo, że w myśl porozumienia sowiecko-polskiego miały jedynie wykonywać porozumienie – w praktyce przystąpiły do totalnej obstrukcji akcji. Najważniejszym problemem stało się udowodnienie (uznanie) narodowości polskiej, a gdy to zostało rozstrzygnięte – sama możliwość złożenia dokumentów lub ich przyjęcia przez lokalne organa milicji. Na samym wstępie rokowań o kształt umowy repatriacyjnej strona polska wysunęła propozycję określania narodowości według powszechnie uznanego w cywilizowanym świecie kryterium subiektywnego, to jest określenia się przez samych zainteresowanych. Wiałiki nazwał tę koncepcję (wysunął ją polski Pełnomocnik rządu ds. repatriacji M. Popiel) «rewolucyjną propozycją» (s.129). Strona sowiecka zakwestionowała ten oczywisty sposób określania narodowości, zgadzając się jedynie na dowód z dokumentów. I tu jak, zaznacza autor przywołując obiekcje strony polskiej, zaczął się problem. Po blisko 17 latach (sic!) od ustania władztwa polskiego na tych obszarach «mało kto» posiadał polskie dokumenty utracone w czasie wojny, zniszczone w obawie przed represjami, skonfiskowane, zagubione itd. Zasadniczym problemem stały się także późniejsze, z lat 1944–56, woluntarystyczne decyzje loka-

lnych organów sowieckich w kwestii zapisów o narodowości miejscowych Polaków. Co do «rewolucyjności» propozycji strony polskiej to wypada skonstatować, że w owym czasie była to uznana w prawie i stosunkach międzynarodowych w obrębie systemu ONZ zasada, co do jakiej poza ZSSR i innymi państwami totalitarnymi nikt nie wnosił obiekcji. Tak pozostało po dzień dzisiejszy w prawie międzynarodowym i w prawie wewnętrznym demokratycznych państw. Godzi się podkreślić, że tak właśnie tę kwestię reguluje współczesna konstytucja Republiki Białoruś (praktyka jest niekiedy odwrotna).

W latach 1948–1956, a więc w okresie gdy władze BSSR uznały, że wszyscy Polacy już wyjechali (pozostali w BSSR tylko «Białorusini – katolicy») zaś ci, którzy wyjechać nie zdążyli (nie mogli) – a było ich zarejestrowanych jeszcze ponad 300 tysięcy – stracili nadzieję na zmiany graniczne, nastąpiła poważna erozja formalnych stwierdzeń (zapisów urzędowych) narodowości polskiej. Wiałiki wymienia szereg przyczyn tego zjawiska, z których do najważniejszych zalicza: zapisy w tzw. kolchozowych «księgach gospodarczych» (Polacy pozostali w BSSR mieszkali głównie na wsi), gdzie dokonywano wpisów «Białorusin» lub pomijano wpis narodowościowy, traktowany później tak samo, ukrywanie narodowości w obawie przed represjami lub ze względu na przyszłość dzieci, zubożenie narodowe mniej uświadomionych Polaków lub nieuznanie narodowości polskiej zainteresowanych przez lokalną administrację. W latach tych nastąpiło bezprecedensowe zjawisko całkowitej zmiany narodowościowej całych rejonów (powiatów) z polskiej na białoruską (formalnie). Bywało ponadto, że rodzice i dzieci otrzymywali różne wpisy o narodowości. Tak więc, jak zaznacza autor, «na przestrzeni lat 1944–49 zachodniobiałoruskie

wsie przemieniły się z polskich w «białoruskie» (s.132). Wiałiki zaznacza, że w ten sposób ogromna liczba ludności zatraciła swoją polskość, ale jednocześnie nie nabyła białoruskości, stając się w okresie późniejszym bazą społeczną dla tzw. kategorii «ludzi radzieckich», którym narodowość była obojętna. Klasycznym przykładem, jaki przywołuje Wiałiki, była wioska Siwce w powiecie Krywicze (ówczesny obwód Mołodeczno), która – według urzędowych zapisów – z czysto polskiej w ciągu pięciu lat «stała się czysto białoruską».

Te zjawiska były więc podstawowym hamulcem repatriacji, gdyż nowe lub sprzeczne wpisy stały się podstawą odmowy uznania narodowości w latach późniejszych, a zatem – odmowy prawa do wyjazdu z BSSR. Niemniej, jak zaznacza autor, były i takie rejon, gdzie ludność nie poddawała się naciskom i wynik był następujący: w rejonie Ilja (dziś centralna RB) Polaków było 72,6 proc., Świr – 72 proc., Ostrowiec – 62 proc., Widze – 52 proc. Jeszcze bardziej trwała «narodowościowo polska» sytuacja okazała się w obwodach przygranicznej Grodzieńszczyzny. Ludność zdołała zachować wpisy, a ponadto w znacznej liczbie posiadała niepodważalne dokumenty (polskie dowody osobiste, legitymacje wojskowe, świadectwa urodzeń, itp.). Władze posunęły się zatem do przedsięwzięć bezprecedensowych. Wiałiki ustalił (to zagadnienie nie było dotychczas znane w polskiej literaturze przedmiotu), że posunięto się do metody kwestionowania narodowości polskiej za pomocą zastosowania danych rosyjskiego spisu narodowości z roku 1898, w którym – na zasadzie «językowej» – przodków osób posiadających dokumenty o narodowości polskiej zaliczono ex ante do Białorusinów.

Kolejną zaletą omawianej pracy

jest właśnie ukazanie ówczesnej sowiecko–białoruskiej praktyki traktowania narodowości. Po pierwsze – generalnie wobec sprzeczności zapisów z różnych lat odmawiano uznania narodowości polskiej (organ milicji odmawiały przyjmowania podań w takich przypadkach), a zatem – prawa do repatriacji. W przypadkach odwołań (do władz lokalnych, ale głównie do ambasady polskiej w Moskwie napływały tysiące listów i próśb od zrozpaczonych Polaków) sprawy rozpatrywały plenarne posiedzenia powiatowych komitetów partyjnych, nie będące przecież organami przewidzianymi w sowiecko–polskim porozumieniu o repatriacji. W rezultacie

Zdarzały się przypadki, kiedy kilka wiosek już ewakuowanych powróciło na stronę polską, dowiedziawszy się o opcji dobrowolnej.

obstrukcja, tendencyjność, zła wola, wreszcie skrajnie biurokratyczny tryb «załatwiania» podań stały się powodem ogromnej liczby przypadków trwałej niemożności wyjazdu. Wiałiki przedstawia liczne dowody, cytaty z dokumentów, szereg przykładów. Wskazuje również na wielorakie wysiłki ambasady PRL oraz Pełnomocnika rządu PRL ds. repatriacji nakierowane na pomoc zainteresowanym. Cennym ustaleniem Wiałikiego są również ujawnione przez niego przesłanki, gdy pomimo udowodnienia narodowości i obywatelstwa polskiego władze sowiecko–białoruskie, zgodnie z przyjętą w ZSRR generalną zasadą utrudniania, odmawiały wydania zgody na wyjazd do Polski. Te przesłanki to:

a) udział w partyzantce AKowskiej, a zwłaszcza poakowskiej (działała na terenie «zachodnich obwodów BSSR» do 1948 roku, a pojedyncze przejawy działalności trwały do roku 1954);

b) służba w armii sowieckiej, która wiązała się z dostępem do

wiadomości tajnych;

c) udokumentowane przejawianie nastawienia antysowieckiego;

d) powiązanie z kontrwywiadem «byłej pańskiej Polski» (s.155);

e) ustalony przez władze zamiar późniejszego (z PRL) wyjazdu do

Postępująca sowietyzacja, dwie fale repatriacyjne, przymusowa kolektywizacja, wyniszczenie resztek antysowieckiego podziemia polskiego, postępy w powszechnej dziedzinie edukacyjno-kulturalnej ludności oraz powszechne procesy urbanizacyjne – zunifikowały w znacznej mierze ludność BSSR.

krajów kapitalistycznych. Z tego powodu odmawiano wyjazdu głównie polskim Żydom, których również obejmowało sowiecko-polskie porozumienie o repatriacji;

f) «podejrzane kontakty z cudzoziemcami z Zachodu» na terenie ZSSR.

Ponadto powodem wstrzymywania już przyznanych zezwoleń bywała konieczność wypełnienia rozmaitych obowiązków, np. spłacenie podatków, pożyczek, wykonanie określonych prac, itp. Indywidualnie odmawiano prawa wyjazdu osobom pozostawiającym w BSSR starych i chorych krewnych, nie mających innej opieki rodzinnej. Wiałiki podkreśla, że mimo prowadzenia repatriacji na terenie niemal wszystkich republik ZSSR, najwięcej skarg na przeszkody w realizacji pochodziło właśnie z BSSR. Wylicza, za danymi archiwalnymi, że ambasada polska w Moskwie porządkowała skargi aż w 12 kategoriach.

W tym kontekście ponownie zwraca uwagę przywoływany przez autora fakt ogromnego zaangażowania peerelowskiej dyplomacji w akcję pomocy Rodakom, co przejawiało się między innymi w doprowadzeniu do wydelegowania rządowej komisji

sowieckiej na Białoruś. Jej pobyt na miejscu spowodował zmianę decyzji odmownych dla kilkuset polskich rodzin. Bo też powody wielokrotnie były tyle bezprawne co prozaiczne, takie jak stwierdzenia: «potrzebni są robotnicy do pracy». Na przykład

nowogródzki przewodniczący sielsawietu (gminy) oświadczał wprost (pisemnie!): «cała gmina składa się wyłącznie z Polaków, jeśli będę wydawał zgodę na wyjazd do Polski to zostanie mi garstka ludzi (do pracy)» (s.161).

Wiałiki podaje cały szereg podobnych przykładów obstrukcji, których efektem był ludzki dramat. Rozdział kończący dane o ostatecznych wynikach omawianej II repatriacji. Są one znane w polskim piśmiennictwie, więc ich nie przytaczamy. Zgodnie z międzypaństwową umową, akcja zakończyła się w kwietniu 1959 roku. Pozostały tysiące niezalutwionych spraw, głównie z powodów o jakich wspomniano wyżej. I znów wskutek nacisków dyplomacji PRL Moskwa wysłała delegację do BSSR. Ta wymusiła na miejscowych władzach pozytywne orzeczenia i – jak cytuje Wiałiki – «według stanu na 25 września 1959 roku, w Białoruskiej SSR z ogólnej liczby 572 rodzin wydano zezwolenia 475 rodzinom, 11 rodzin zrezygnowało z wyjazdu, 4 rodziny nie złożyły wymaganych podań, 5 rodzin – wymaganych dokumentów, co do 4 – nie udało się ustalić gdzie się znajdują» (s.180).

W kolejnym podrozdziale Wiałiki przedstawił mało znaną kwestię «powrotów do ZSSR». Mowa w nim o próbach zastosowania paralelnej sytuacji wobec Białorusinów zamieszkałych w Polsce, głównie na Białostocczyźnie, oraz pojedynczych przypadkach powrotu Polaków. Obie kwestie nie należały do

masowych. Polacy wracali głównie z powodów niemożności asymilacji w zupełnie nowym dla nich środowisku lub ze względu na uciążliwość życia codziennego (Wiałiki komentuje to w takim kontekście, że wielu z nich nabyło mentalność sowiecką i przejawiało postawy roszczeniowe, nie rozumiejąc, że nawet w ówczesnej Polsce realia były inne, a ludzie umieli troszczyć się sami o siebie. Część przybyszów tego nie umiała albo nie chciała). Dla władz sowiecko-białoruskich było to zaskoczeniem. Rozwiała je zgoda rządu ogólnozwiązkowego, który zezwolił na uprawomocnienie powrotów. I – jak ustalił Wiałiki – «w roku 1957 wróciło 11 osób». W tym samym roku wyjechało z BSSR do PRL 28.131 repatriantów. Ilu wróciło do roku 1959 autor nie przedstawił z powodu braku danych. W całym okresie II repatriacji (1956–57) do PRL wyjechało 82.746 osób. Dodajmy, że po zakończeniu tej drugiej repatriacji, w niecałe dwa lata później (1959) spis ludności w BSSR wykazał 538.881 Polaków. Na co dzień po polsku mówiło jeszcze 261.768 spośród nich. Tyłu ich było oficjalnie, to znaczy tyłu «uznały» sowiecko-białoruskie organa spisowe. W praktyce znacznie więcej. Repatriacja Białorusinów z Polski do BSSR w tym samym czasie – jak pisze autor – «nie odbyła się» (s.183). Dlaczego – nie podaje. Pozostaje sądzić, że nie było chętnych...

Na tym Wiałiki kończy przegląd genezy, przebiegu, wyników i skutków repatriacji Polaków (i Żydów) z sowieckiej Białorusi. Książce nadał jednak szerszy tytuł: «Białoruś–Polska w XX wieku». Z zastrzeżeniem, że «Białoruś» w tym okresie – to BSSR, a relacje zewnętrzne, mimo pozorów samodzielności (dopiero w 1944 roku, w związku z «akcesją BSSR» do ONZ w rządzie sowiecko-białoruskim utworzono Ministerstwo Spraw Zagranicznych) określała Moskwa – o żadnych poważnych «stosunkach białorusko-polskich»

w tym okresie nie mogło być mowy. Przypomnijmy, że oba podmioty nie miały zawartych między sobą stosunków dyplomatycznych, nawet na poziomie konsularnym. Stąd tytuł ostatniego z podrzdziałów monografii Wialikiego: «Z Mińska do Warszawy przez... Moskwę». Podrzedział niewielki, ale ważki bo relacjonuje stan «stosunków» (można strawestować: tyle tekstu ile «stosunków»), czy raczej ich prób. Dowiadujemy się zatem, że wszelkie kontakty z «towarzyszami z PRL» wymagały (gdy z inicjatywą występował wojewódzki komitet PZPR z Białegostoku albo Lublina, rzadziej z innych miast): opinii obwodowego komitetu KPБ, stosownej rekomendacji centralnego komitetu KPБ i ostatecznie – zgody centralnego komitetu KPZR. Nawet w przypadku wizyty polskiej «delegacji młodzieżowej» (tu: Związek Młodzieży Socjalistycznej) załatwianie takiej wizyty trwało średnio pół roku. Jak wynika z ustaleń Wialikiego, inicjatorem kontaktów była na ogół strona polska, przede wszystkim – przygraniczne województwa. Centralnie inicjatorem także była Polska. Jak podaje autor, już w 1955 roku Wydział Kultury przy KC PZPR wyszedł z inicjatywą zorganizowania «polsko-białoruskich dni przyjaźni». Zwrócił się z tym jednak nie do CK KPБ w Mińsku, ale – co podkreśla Wialiki – do ambasady ZSSR w Warszawie, czyli do organu ogólnozwiązkowego, a nie bezpośrednio – do władz «bratniej republiki». Z kolei wizyty sowiecko-białoruskie w przygranicznych województwach polskich, jak podkreśla autor, miały przede wszystkim «charakter zbierania informacji o życiu społecznym i politycznym w PRL» (sic!).

Wialiki przyznaje wprost: Moskwa w pełni nadzorowała wspomniane kontakty, dozowała je i pilnie baczyła, by nie nastąpiło jakiegokolwiek zbliżenia polsko-białoruskie, czy odwrotnie. W tym kontekście nawet dla polskich komunistów dziwnym było, że bezpośrednio

wizyty państwowej w Mińsku (przy przychylniej opinii władz sowiecko-białoruskich) odmówiono Ministrowi Spraw Zagranicznych PRL Adamowi Rapackiemu. Najbliżsi sąsiedzi, formalnie «bratni» i «zaprzyjaźnieni», nie mogli nawet podjąć próby naturalnej przyjaźni, czy choćby sąsiedztwa. Wyjątkiem była fasadowa wizyta W.Gomułki w listopadzie 1958 roku, ale uczestniczyła w tym spotkaniu specjalna delegacja z Moskwy. «Przyjechali po to, by nie pozostawiać Białorusinów i Polaków sam na sam» – pisze Wialiki (s.201). Dodaje, że «Moskwa nie chciała wpuszczać Warszawy (tj. przedstawicieli władz PRL) na Białoruś, gdyż w tej republice mieszkała największa liczba Polaków w całym Związku Radzieckim» (s.205). Zatem ani Białorusini, ani Polacy – jako zwykli ludzie – nic o sobie nie wiedzieli. Trudno oprzeć się spostrzeżeniu, że obecnie – pomimo, że sowieci już nie istnieją – nic się w tej kwestii nie zmieniło. Najbliżsi sąsiedzi, cywilizacyjnie także najbardziej podobni, nadal praktycznie się nie znają. Ale to już kwestia na inną analizę...

Zgodnie z przyjętą przez siebie konwencją (podawania archiwalnych, dokumentalnych sytuacji) Wialiki przedstawił na końcu specyficzną ciekawostkę z zakresu «bratnich kontaktów» – skwapliwie spisana przez «towarzyszy z Brześcia» relację o wizycie u nich delegacji Komitetu Wojewódzkiego PZPR z Lublina. W dniach 23–25 stycznia 1956 roku, w ramach delegacji «młodzieżowej», przybyli do Brześcia «z przyjacielską wizytą» lubelscy sekretarze KW: Eugeniusz Curuś i Piotr Karpiuk, którzy poprosili o sekretną rozmowę z kierownictwem partyjnym obwodu brzeskiego. W czasie rozmowy... złożyli donos na popaździernikowe stosunki polityczne w woje-

wództwie i w ogóle – w Polsce – jako zagrażające «budownictwu socjalistycznemu». «Towarzysze» sowiecko-białoruscy uznali to za prośbę o interwencję ZSSR w sprawy PRL...

Aneksy zamieszczone w końcu monografii, jak już zaznaczano, to cenne źródła (tabele, meldunki, sprawozdania). O ile dane ogólne w nich zawarte są znane piśmiennictwu polskiemu to szczegóły – oceny i opis «kuchni» repatriacyjnej z lat 1955–57 – są niezwykle cenne i z pewnością będą pomocne polskim badaczom problematyki. Nie tylko tematu repatriacji, ale także wewnętrznych stosunków w BSSR oraz – co ważniejsze – życia tamtejszej polskiej mniejszości narodowej.

Monografia Wialikiego to cenne opracowanie. Dla czytelnika białoruskiego – pionierskie. Na tym rynku wydawniczym i w obiegu naukowym to zupełna nowość.

Moskwa w pełni nadzorowała kontakty polsko-białoruskie i pilnie baczyła, by nie nastąpiło jakiegokolwiek zbliżenia. Najbliżsi sąsiedzi, formalnie «bratni» i «zaprzyjaźnieni» nie mogli nawet podjąć próby naturalnej przyjaźni czy nawiązania stosunków dobrosąsiedzkich.

Białorusini wiele dowiedzą się o niedawnej przeszłości ich kraju. Polacy – pozyskają dodatkowe źródłowe dane oraz, co równie cenne, samą informację o istnieniu kapitałnych źródeł w archiwach białoruskich. Nieliczne mankamenty oraz inny ogląd opisywanej przez Wielikiego rzeczywistości przedstawiliśmy powyżej. Poważnym mankamentem rozprawy jest natomiast jej... mikroskopijny nakład – zaledwie 100 (słownie: sto) egzemplarzy.

ZDZISŁAW J. WINNICKI
KRESY24.PL

Rok Zbigniewa Herberta

Pod koniec czerwca Konsulat Generalny RP w Grodnie zorganizował wystawę poświęconą Zbigniewowi Herbertowi. Dzięki wystawie każdy chętny mógł poznać bliżej życie oraz twórczość słynnego polskiego poety, eseisty oraz dramaturga.

Wydarzeniem artystycznym stał się koncert poetycki pt. «Powrót Pana Cogito» w wykonaniu znanego polskiego aktora Zbigniewa Zapasiewicza oraz piosenkarki Olgi Sawickiej, której akompaniowała Katarzyna Nowakowska. Koncert trwał niespełna godzinę, ale zostawił ślad w pamięci każdego widza. Występ charakteryzował się dużym napięciem, które zapewniło charakterystyczne – bardzo sugestywne – wykonanie najbardziej znanych wierszy poety przez Zbigniewa Zapasiewicza. Dał on wspaniały popis nie tylko sztuki recytatorskiej, ale również aktorskiej, przeżywając losy bohaterów czytanych przez siebie wierszy przed zafascynowanymi widzami.

Nie mniej wspaniały był występ wokalny Olgi Sawickiej, a muzyka Katarzyny Nowakowskiej stworzyła odpowiednią atmosferę: gdzie trzeba – podgrzewając napięcie, gdzie trzeba – uspokajając uczucia. Przed widzami otworzył się pełny wachlarz emocji, a przecież taka właśnie była twórczość Zbigniewa Herberta, nierozdzielna z jego życiem.

Pozostaje tylko wyrazić żal, że takiego poziomu imprezy artystyczne są w Grodnie naprawdę wielką rzadkością.

JULIA MAŁYSZKO

Przez całą Polskę

Prawie przez całą Polskę przejechał chór «Głos znad Niemna», żeby wziąć udział w Międzynarodowym Plenerze Artystycznym w Bornem Sulinowie oraz obchodach 15-lecia tego młodego, ale jakże wspaniałego miasta.

Borne Sulinowo leży aż na drugim końcu Polski, dlatego podróż z Kuźnicy Białostockiej zajęła blisko dwanaście godzin. Oczywiście, po tak długiej podróży wszyscy byli bardzo zmęczeni, jednak powitanie chlebem i solą przez miejscowych przyjaciół wywarło na wszystkich uczestnikach chóru mocne wrażenie. Był to piękny znak uznania dla gości z Grodna. Po kolacji «Głos znad Niemna» zaprezentował program artystyczny, który spotkał się z rewelacyjnym przyjęciem. Chór był wielokrotnie nagradzany hucznymi brawami.

Następny dzień rozpoczął się od spotkania z burmistrzem miasta oraz gminy Borne Sulinowo Renatą Pietkiewicz-Chmyłkowską, która ciepło powitała przybyłych z daleka gości. Miasto i Gmina ma gospodarcze i wzajemne powiązania z różnymi regionami Polski, Federacji Rosyjskiej, Niemiec, Czeskiej Republiki oraz innymi państwami, może kiedyś uda im się nawiązać współpracę z którymś z białoruskich miast.

Z wielkim zainteresowaniem

chórzyci wysłuchali z ust Burmistrza o historii powstania miasta i gminy, oraz o dalszych perspektywach rozwoju tego terenu. Następnie specjalnie dla pracowników Urzędu Miasta i Gminy chór zaśpiewał kilka piosenek, między innymi pieśni «Kraj rodzinny», «Polesia czar», «Za Niemem», «Sokoły». Wszyscy byli bardzo wzruszeni. Panowała wspaniała atmosfera.

Podczas spaceru po mieście uczestnicy chóru «Głos znad Niemna» mieli możliwość poznać bliżej historię miasta, które powstało w miejscu, gdzie kiedyś były wybudowane wille wysoko postawionych niemieckich urzędników wojskowych oraz ludzi cywilnych. Miasto leży nad jeziorem Pile, dlatego okoliczne lasy są bogate w rozmaite zwierzęta i ptaki, tu też zlokalizowano największe wrzosowisko w Europie. Polski etap w historii miasta rozpoczął się z dniem 21 października 1992r. wraz z wyjazdem ostatniego transportu żołnierzy Federacji Rosyjskiej. 5 czerwca 1993 r. nastąpiło uroczyste otwarcie miasta dla ludności cywilnej, a 15 września tego samego roku Borne Sulinowo otrzymało prawa miejskie.

Wycieczkę po mieście dla chórzystów poprowadził historyk Dariusz Dederko. Opowiadał on dużo o przyszłości miasta i gminy Borne Sulinowo, o jego perspektywie jako miasta turystycznego i wypoczynkowego nie tylko dla Polaków, ale i dla cudzoziemców. Wszystko jest do zrealizowania, tym bardziej, że miasto posiada wspaniałą architekturę oraz tradycje, mimo swego młodego wieku. Jednym z piękniejszych miejsc jest klasztor



WYSTĘP «GŁOSU ZNAD NIEMNA» W BORNEM SULINOWIE ZEBRAŁ SAME POCHLEBNE OPINIE

ss. Karmelitanek Bosych. Soliści z Białorusi nie mogli nie wstąpić do kapliczki na wspólną modlitwę.

Następny swój występ chór «Głos znad Niemna» miał w Domu Pomocy Społecznej w Bornem Sulinowie. Zespół zaprezentował szeroki repertuar, ale przede wszystkim pieśni kresowe, mało znane na zachodnich krańcach Polski, takie jak «Kresowianka» (solistka Henryka Tawrel), «Polesia czar» (solistka Weronika Jaroszewicz), «Kresowe dzieci» (solista Czesław Waluk) oraz inne.

W PDS-ie chór spotkał się ze wspaniałym przyjęciem. Okazało się, że również w Bornem Sulinowie są ludzie, pamiętający trudną historię Kresów Wschodnich i, co ważniejsze, będący jej żywym świadectwem. Wśród słuchaczy była Eugenia Warszałewska, Polka urodzona w więzieniu w Kirgystanie, gdzie jej ojciec został zesłany przez Sowieci. Była bardzo wzruszona i wdzięczna chórowi za to, że w repertuarze znalazła się piosenka «Kresowe dzieci».

– Bardzo mnie się spodobał występ waszego chóru. Tym bardziej, że w piosenkach śpiewanych przez was jest pokazane całe moje życie oraz życie mojej rodziny. Życzę wam dużo zdrowia i szczęścia, a najważniejsze – to nie zatracić więzi z Macierzą – zwrócił się po występie

chóru do jego uczestników Józef Wojciechowski, repatriant z Wilna, który przyjechał do Polski w 1946 r.

Wszystkie występy, opisane powyżej, były jednak występami nieoficjalnymi, gościnnymi, bo chór «Głos znad Niemna» zawsze chętnie prezentuje swoje umiejętności przed tymi, kto się interesuje piosenką polską oraz piosenką kresową. Dlatego nigdy nie odmawia występu, nawet jeśli nie jest to zaplanowane w jego kalendarzu. Oprócz występów gościnnych chór «Głos znad Niemna» miał jednak w Bornem Sulinowie jeszcze jedną ważną rolę do spełnienia: chór wystąpił na obchodach 15-lecia miasta oraz na Międzynarodowym Plenerze Artystycznym.

Jak zawsze koncert chóru «Głos znad Niemna» rozpoczyna się piosenką «Ballada o Grodnie» – która jest jego wizytówką już od 1992 r. Następnie chór zaśpiewał «Za Niemen», «Kresowe dzieci», «Kraj rodzinny», «Sokoły», «W zielonym gaiku» i in. Podczas wykonywania piosenek o odległym Niemnie, o Grodnie czy Kresach, w oczach niektórych starszych słuchaczy pojawiły się łzy wzruszenia, gdyż te piosenki wzbudzały nostalgię o dzieciństwie czy też młodości, o czasie bez troski, jak również o tym czasie, kiedy Rzeczpospolita była

silna i mocna.

Wielkimi brawami słuchacze nagrodzili chórzystów za piosenki «Polesia czar», «Sokoły», «Kresowianka». Słuchacze byli gotowi śpiewać razem z chórzystami, tak im przypadły do gustu piosenki zespołu. Po zakończeniu występów chór, jak i pozostali uczestnicy Międzynarodowego Pleneru Artystycznego w Bornem Sulinowie, dostał nagrodę od burmistrza miasta. Widząc powszechny entuzjazm, należy wnioskować, że prawdopodobnie to nie ostatni raz, kiedy mieszkańcy Bornego Sulinowa spotykają się z «Głosem znad Niemna».

Chór dużą uwagę przywiązuje do kultury i historii Grodna i Grodzieńszczyzny, dlatego podczas każdego występu brzmią utwory związane z tą ziemią. Dzięki temu, chór wyróżnia się wśród innych zespołów polskich z Białorusi. «Głos znad Niemna» jest zgodnym zespołem, który ma swoje oblicze i jednocześnie korzysta ze skarbnicy pięknej kultury polskiej, zwłaszcza kultury kresowej.

Wyprawa chóru «Głos znad Niemna» do Bornego Sulinowa skończyła się. Chórzyści wrócili do domu pełni wrażeń. Będą miło wspominać ten wyjazd. Na pewno nie mniej miło wspominać występ chóru będą mieszkańcy tego odległego miasta. Tym bardziej warto podkreślić, jaką rolę spełnia «Głos znad Niemna» występując w różnych, najdalszych nawet, zakątkach Polski. Dzięki występom takim jak ten, w Bornem Sulinowie, mieszkańcy Polski poprzez piosenki mają możliwość poznać burzliwą historię Kresów i przypomnieć sobie, że po wschodniej stronie granicy też mieszkają Polacy. Polacy, którzy nie zatracili więzi z Macierzą. I chór «Głos znad Niemna» spełnia w podtrzymywaniu tej więzi bardzo ważną rolę. Za wszystkim jego uczestnikom należą się słowa uznania i duże brawa.

CZESŁAW WALCZ

Rzeczywistość urojona

Dzięki Internetowi komunikacja stała się o niebo łatwiejsza niż jeszcze dziesięć–piętnaście lat temu. Internet staje się źródłem wiedzy, w rzeczywistości wirtualnej rodzi się wiele namiętności. Nawet pracę teraz łatwiej znaleźć przez Internet niż przez zwykłe ogłoszenie.



Pewien mój znajomy właśnie takim oto sposobem – przez Internet – znalazł pracę w białoruskiej firmie budowlanej, która oferowała pracę za granicą, a konkretnie – w Polsce. Jak sam potem mówił, wybierał z pośród trzech ofert, ale ta firma zaimponowała mu najbardziej. Mieszkanie opłacane na koszt firmy, przejazd na koszt firmy, dniówka – 100 złotych plus bonusy. No i mój znajomy się skusił.

Po przyjeździe do stolicy Polski, bo firma miała siedzibę w Warszawie, szefowie firmy drogim samochodem zawieźli nowych pracowników do miejsca zamieszkania. W drodze okazało się, że mają się zabrać do pracy natychmiast, mimo że całą noc najemnicy z Grodna spędzili w pociągach i myśleli tylko o odrobinie snu. Nikogo to jednak nie interesowało. Następną niespodzianką okazał się «lokal», w którym mieli mieszkać nowoprzybyli pracownicy. Zamiast przytulnego M-2 okazał się nim... garaż. W garażu znajdowały się przygotowane miejsca do spania, stół oraz krzesła. Był tam nawet telewizor – jak w prawdziwym mieszkaniu! Poza tym jednak chłód, smród od grzyba na ścianach oraz totalny brak świeżego powietrza. Pracodawca zapewnił, że takie warunki są tymczasowe.

To była jednak nie ostatnia «niespodzianka». Obiecane 100 złotych za osiomiogodzinny dzień pracy tak i zostały w rzeczywistości wirtualnej. Mój kolega oraz jego towarzysze w niedoli pracowali nieraz po 12 godzin, bez odpowiedniego sprzętu, bez żadnej kontroli, nawet bez przerwy obiadowej. Wszystko to, by po trzech tygodniach dostać wypłatę w wysokości... 300 złotych! W końcu doszło do tego, że *gastarbeiterzy* z Białorusi nie mieli czego jeść.

Oczywiście przez cały czas mieszkali w garażu, zaś pracodawca zapewniał, że niedługo to się zmieni. Wiadomo, nie ma nic trwalszego niż rzeczy tymczasowe, dlatego mieszkali w tym garażu aż do końca swojej «przygody» z pracodawcą z Internetu.

Najbardziej przykra niespodzianka spotkała jednak

poszukiwaczy pracy w rzeczywistości wirtualnej, kiedy jeden z nich uszkodził sobie nogę na budowie. Po zwróceniu się do przychodni okazało się, że zapewnienia pracodawcy o tym, że wszystko jest legalnie, że ma wszystkie papiery, że płaci wszystkie podatki oraz ZUS-y, są również wirtualne.

Pracodawca jednak przekonywał biedaków, że to lekarze są źli, że się znęcają nad zacofanymi Białorusinami. Nawet przyparty do muru niepodważalnymi faktami, pracodawca nadal nie chciał dać za wygraną. Oświadczył, że chłopak przyjechał do Polski już z chorą nogą, specjalnie, żeby ją wyleczyć!

Tak oto przygoda z rzeczywistością wirtualną skończyła się bardzo przykrym i mało przyjemnym doświadczeniem. Ani mój kolega, ani jego kompani nie dostali ani grosza ponad te wspomniane 300 złotych. A przepracowali ponad półtora miesiąca w strasznych warunkach i jak się okazało – na pełnym «nielegalu».

Oczywiście, pracodawca zapewniał, że wszystko jest w jak najlepszej kondycji i trzeba jeszcze trochę poczekać, a sytuacja się poprawi. Jednak zniecierpliwieni i mocno wkurzeni robotnicy z Białorusi pewnego dnia poszli do Urzędu Pracy i złożyli zawiadomienie o łamaniu Kodeksu Pracy przez ich pracodawcę. Jakież musiało być ich zdziwienie, kiedy okazało się, że «firmy» w której pracowali, nie było w żadnym wykazie firm, zarejestrowanych na terenie Polski.

Tak oto dla mojego znajomego przygoda z rzeczywistością wirtualną okazała się zmaganiem z rzeczywistością urojoną. Jechał do Polski, żeby zarobić dużo kasy, a w końcu wrócił do kraju z opowieścią o złym pracodawcy, który go okłamał. Tyle tylko, że to nie pracodawca, tylko mój znajomy jest winien temu, że dał się nabrać na słodkie obietnice i zachęty, płynące z Internetu. Rzeczywistość wirtualna ma to do siebie, że tak naprawdę ma niewiele wspólnego z prawdziwym życiem. O tym mój kolega, najwidoczniej zapomniał...

DYMITR GORSZANOW

OSTATNI MAZUR

Jeszcze jeden mazur dzisiaj,
Choć poranek świta.
Czy pozwoli panna Krysia?
Młody ułan pyta.

I tak długo błaga, prosi,
Boć to w polskiej ziemi.
W pierwszą parę ją unosi,
A sto par na ziemi. (bis)


On jej czule szepcze w uszko,
Ostrogami dzwoni,
W pannie tłucze się serduszko
I liczko się płoni.

Cyt, serduszko, nie płoń liczka,
Bo ułan niestały,
O pół mili wre potyczka,
Słychać pierwsze strzały. (bis)

Słychać strzały, głos pobudki,
Dalej na Koń, hura!
Lube dziewczę, porzuć smutki,
Zatańczym mazura.

Jeszcze jeden krąg dokoła,
Jeden uścisk bratni,
Trąbka budzi, na koń woła,
Mazur to ostatni. (bis)

OSTATNI MAZUR – to bardzo popularna pieśń przez wiele lat była błędnie kojarzona z Powstaniem Listopadowym. Jej urodzin upatrywano niekiedy w powstańczym balu przed bitwą o Olszynkę Grochowską, na którym tańczyło się nad ranem „białego mazura”; melodię zaś przypisywano nawet Fryderykowi Chopinowi. Ale prawda jest zgoła inna: Ostatni Mazur pochodzi z czasów Powstania Styczniowego (1863r.). Słowa napisał Ludwik Ksawery Pomian-Łubieński (1839-1892), uczestnik powstania i autor wierszy patriotycznych, melodie skomponował Fabian Tymolski (1828-1885), urzędnik skarbowy we Lwowie, twórca licznych tańców: mazurów, polonezów, krakowiaków, polek walców oraz marszów i kołomyjek.



Co miesiąc tysiące
obywateli Białorusi
zapala w oknach
swoich mieszkań
Świecę Wolności.
W ten sposób
demonstrują
swoją solidarność
z rodzinami
zamordowanych
przewódców
opozycji -
Hennadija
Karpenko, Jurija
Zaharenko, Wiktora
Honczara, Anatolija
Krasouskaha
i dziennikarza
ORT Dmitrija
Zawadzka
oraz politycznymi
więźniami.

16 każdego
miesiąca o godz.
20.00 wyłącz
światło w swoim
mieszkanu i zapal
świecę solidarności!

16 o 20.00 po prostu zapal świecę!